

## HERR MINISTER STRAUSS ma kłopoty



Lothar Schloss

No, no! Tego się pewnie nie spodziewał pan minister Franz Josef Strauss od swoich rodaków. Gdyby machał w tym palce, brzydcy komunisty ze Wschodu, można by to jakoś przeboleć. Ale niemieccy dziennikarze? I za co? Za zasługi poniesione w służbie Republiki Federalnej?

Wolno przypuszczać, że tego rodzaju rozmyślenia trapią teraz ministra, który robi wszystko aby oczyścić się z winy. Nielatwa to sprawa, w każdym razie od kilku miesięcy uwaga opinii publicznej w Niemczech zachodnich skoncentrowana jest na osobie wysokiego urzędnika z Bonn, i jego podopiecznych. Skandal trwa, zainteresowani składają zeznania przed sądem, wielka afera zdemaskowana przez

wścisbskich dziennikarzy z hamburskiego „Der Spiegel” nabiera rozmachu.

Jeśli Herr Minister prowadzi osobisty dziennik, to 1 grudnia 1959 roku uzna niewątpliwie za fatalną datę. Tegoż dnia złośliwy los zefknął go z architektem Lotharem Schlossem. Wprawdzie pan Schloss skończył zaledwie jeden semestr na Wydziale Architektury, nie przeszkadzało to jednak, że prowadził już poważne biuro architektoniczne i szukał pilnie ciekawszych zamówień. Władomo, ministrowie mogą w tym dopomóc, byle tylko dostać się przed ich oblicze. Pan Schloss miał, jak się to mówi, głowę na karku. Poprosił dra Hansa Kapfingera z Passau, dobrego znajomka Straussa, o protekcję. Kapfinger nie odmówił, ba, polecił nawet gorąco pentałtę względem ministra. Na razie pan Schloss nie żądał wiele. Upraszał jedynie o włączenie go na listę architektów uprawnionych do wykonywania zleceń Głównej Dyrekcji Finansów i Okręgu Monachium. W tym czasie był między innymi aktualny projekt budowy koszar. Treść tej rozmowy nie jest znana. Schloss wyciągnął jednak słuszny wniosek, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Już następnego dnia wysłał pismo do Straussa, w którym

Dokończenie  
na str.  
5

EWA SULIBORSKA

## BIJEMY na ALARM!

Przed około trzynastu laty otwarto w Polsce Szkołę Filmową. Założono ją w Łodzi, w dawnym pałacyku Kohna przy ul. Targowej. Oczywiście był cel postawiony szkole. Jako jedna z nielicznych tego typu uczelni w Europie miała kształcić pracowników polskiej kinematografii: reżyserów, operatorów i kierowników produkcji. I zadanie swoje wypełniała. Gros spośród współczesnych twórców filmowych, to absolwenci tej uczelni. Nie będziemy tu jednak spisywać historii Szkoły. Nie obchodzi nas długa lista znakomitych absolwentów, ani nie będziemy się zastanawiali nad zmianami, jakich w ciągu tych lat w niej dokonano. Nie będziemy też spisywać trudności, jakie organizatorzy i kierownicy Szkoły przeżyli. Historia tych trzynastu lat zapisana będzie z pewnością na kartach poświęconych polskiemu filmowi. Pozostawmy więc te sprawy badaczom. Zajmijmy się raczej dniem dzisiejszym, sięgając do przeszłości tylko wtedy, gdy ten zabieg będzie konieczny.

Zapiszmy więc najpierw, że w roku 1962 Szkoła Filmowa mieściła się w tym samym pałacyku. Nie jest to fakt bez znaczenia. Przed rokiem czy też przed dwoma laty mówiło się głośno o tym, że Szkoła zostanie przeniesiona do Warszawy. Wytypowano już nawet odpowiedni budynek. Ostatecznie do przeniesienia nie doszło. Wspomnijmy gorące protesty przeciw temu projektowi łódzkich władz miejskich i łódzkiej prasy. Być może one zaważyły. Być może jednak argumenty za pozostawieniem Szkoły w mieście, w którym znajdują się trzy wytwórnie filmowe i duży ośrodek telewizyjny — były mocniejsze. Co ostatecznie zdecydowało o tej ważkiej fakcie nie było decyzją, nie jest w tej chwili zresztą sprawą ważną.

Rektor Toeplitz oświadczył oficjalnie — Szkoła Filmowa pozostanie w Łodzi. I ostatecznie oświadczenie to sprawę rozwiązało.

Łódzianie powinni być ukontentowani. A sprawę można na tym właściwie zakończyć. Można by, ale niestety sprawa nie przedstawia się tak prosto. Bo oto okazało się nagle, że Szkoła Filmowa jest w sytuacji krytycznej, że dosłownie dusi się w pałacyku przy ulicy Targowej. Wspomnieliśmy o czasie, który minął od chwili jej założenia. Nie było to tylko melancholijne westchnienie. Bo tych trzynastu lat w życiu instytucji naukowej coś oznacza. Pomyślmy tylko, jak w ciągu tych lat wzrosnąć mu-



„Volpone czyli Lis”. Na zdjęciu: Alicja Zomerówna (Celia) i Włodzimierz Kwaskowski (Volpone)

RECENZJA NA STRONIE 7

Fot. G. Puciato

stała liczba książek w bibliotece i ilość pomocy naukowych. Jak Szkoła musiała rozbudować istniejące pracownie i filmową produkcję? A kierownictwo Szkoły dysponowało wciąż tą samą, niewielką przecież od początku na tego typu instytucję naukową, ilością metrów kwadratowych powierzchni.

W tym roku studiuje w Szkole Filmowej około 250 studentów. Liczba jak na tę uczelnię — astronomiczna. Założeniem Szkoły była kameralność. A na 1 roku tzw. uniłarnym jest dziś blisko 40

studentów. Największa w pałacyku przy ul. Targowej sala może pomieścić maksimum 30 studentów. Wszystkie pozostałe (liczba ich zresztą jest bardzo niewielka) mieszczą maksymalnie od kilku do kilkunastu osób. Zajęcia odbywają się więc w gabinecie rektora, prorektora i w bufecie. Jak będzie trochę cieplej, być może da się je przeprowadzać w parku. Jeśli pani prof. Skwarezyńska w jednej z sal ma wykład, do drugiej studentki wchodzi przez okno. Pokoje są w amfiladzie. Wykładowcy nie mają swojego

pokoju. Wypoczywają w sekretariacie. To duży pokój, może pomieścić kilkanaście osób. Tylko, że co chwila tam ktoś wchodzi. Pracują w nim trzy panie. Jedną z nich jest maszynistka. Ale pani prof. Skwarezyńskiej to nie może przeszkadzać, wybrała więc tam sobie stałe miejsce.

W ogrodzie otaczającym pałacyk znajdują się jeszcze trzy obiekty należące do Szkoły, nie licząc dawnej oranżerii, którą przerobiono na garaż. Barak gdzie mieszczą się biura kierownictwa produkcji, rząd komórek i budynek żywo przypominający „czworaki”. W czworakach mieścił się do niedawna internat. Teraz część jego zajmują stołówka, (w jej kuchni nie mieszczą się, jak mnie poinformowano, żadne maszyny, wszystkie więc prace trzeba wykonywać ręcznie), część klub, a część biblioteka. Szczególnie wiele kłopotu sprawia ta ostatnia. Zgrupowano pięćdziesiąt literatur i rachow, ale część książek leży na podłodze. Nie można już zainstalować regałów



Dalszy ciąg  
na str. 8

rozmaitości  
ze ŚWIATA



Arystarch

- BENIAMINKOWIE TERORU
- POCHWAŁA WITRYOLEJU
- NOWI PIŚARZE AMERYKAŃCY

Literacka prasa francuska powraca chętnie do rozważań na temat współczesnej młodzieży. Jeden z publicystów popularnego tygodnika „Arts” przypomina zdarzenie, którego był świadkiem w czerwcu 1945 r. Pewnego popołudnia przechodząc przez plac Saint-Sulpice (w Paryżu) usłyszał okrzyki gniewu, roz-

pacz i przerażenia. Okazało się, że gromadka wyrostków w wieku 12, 13 lat przywiązała do krat przy wejściu do kościoła swego współowarzystwa zabaw i „torturowała” go, przykładając płomyki zapalonych papierosów do policzków lub gasząc zapaliki na gołym kolanie ofiary. Na interwencję przechodniów, chłopcy zdziwieni odpowiedzieli: „Ale cóż w tym złego? My się tylko bawimy w gestapo!”

Tamci chłopcy są już dorosłymi ludźmi w wieku około 30 lat. Cóż robią obecnie? Zapewne podkładają bomby plastikowe pod drzwi redakcji postępowych pism. Publicysta bije się w piersi i dowodzi, że nie można się usprawiedliwiać zwalając winę na wojnę i tłumacząc wszystko skutkami okupacji.

Ala jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z dzisiejszą młodzieżą. W początkach bieżącego roku zaobserwowano,

że uczniowie licealni transportują bez wahania materiały wybuchowe i podkładają je w miejscach, które im wskazano. Chłopcy ci zyskali sobie nazwę „beniaminków terroru”. Akcja taka spotyka się naturalnie z oporem i w szkołach tworzą się wśród uczniów „komitety antyfaszystowskie”. Jednym słowem, młodzież wpływa wezwanie na wzburzone flukty życia politycznego. Publicysta konkluduje: winni są rodzice, którzy umieli tylko zrzędzić, ale nie wskazali młodzieży, w jaki sposób powinno się budować państwo i społeczeństwo oparte na zasadach sprawiedliwości społecznej.

Od terroru w sprawach polityki dzieli nas tylko krok do witrroleju w sprawach miłości i do dramatów zakochanej młodzieży. Nie ma dziś takiej młodzieży! Nie ma dramatów miłosnych. Fe-

lietoniści recenzujący książkę Roberta Poulet „Przeciwko miłości”, wzdycha żartobliwie, że nie ma dziś we Francji Romea i Julii i nie ma Tryстана i Izoldy. Ba, coż to były za czasy! Ta legendarna pierwsza połowa XX wieku, gdy przy pomocy witrroleju załatwiano się porachunki miłosne! Trochę steżonego kwasu siarkowego zaaplikowanego na buzię zdradzieckiego kochanka i sprawa była załatwiona! Bo nie szło przecież o to, żeby zabić, tylko żeby niewierny pocierpiał. I to długo! Nie wdycham, jak felietoniści francuski do witrroleju, ale patrzac na naszą egzystencjalną i nie-egzystencjalną młodzież, snuję melancholijne refleksje. Gdzież jestcie, Stanisławie Wokulski i Izabela, Judymie i Joasiu, Ignasiu i Bronko? Ostatnio pisze się dużo we Francji nie tylko o zmierzchu miłości, lecz również o zmie-

rzchu innych bogów: rodziny, ojczyzny, moralności burżuazyjnej. Przeciętny Francuz ma niemało kłopotów. Wielkie strajki protestacyjne (jakie manifestacje siły przeciwko prócom odrodzenia fałszywu) wykazują potęgę ludu, świata pracy i znaczenie pracy w świecie współczesnym. Mówi się i pisze coraz częściej o dwójności cywilizacji współczesnej, której dwie nierozłączne strony — praca i wypoczynek — są ze sobą w fatalistyczny sposób sprzęgnięte, i przewiduje się, że z rozwojem automatyzacji procesów produkcji i z dalszym postępem społecznym oba te zagadnienia, pracy i

Dalszy ciąg  
na str. 2



# W Łodzi to nie wychodzi

Oleś kończył właśnie „wybijanie” ostatnich żołnierzyków ustawianych na podłodze.

Stefek kuł historię, typując od czasu do czasu wściekłym wzrokiem na młodszego brata. Kiedy wojsko leżało już pokotem, dziadek wyciągnął duży, kolorowy wąż.

— Stefek, puść mi bakal — prosił. Tego już było starszemu bratu dość.

Podskoczył do kuchni, gdzie mama kończyła zmywanie statków po obiedzie.

— Mamo, weź tego smarkacza! Matura za pasem. Jutro repetycja, a ten mi tu piekło urządza, że wścieka się moim!

— Dobrze, Stefeczku, dobrze! I zwracając się do Oleś:

— Widzisz, Oleś, Stefus musi się uczyć! Nie przeszkadzał mu! Jak mamusia pozmywa i powyciera naczynia, pójdzmy na spacer. A teraz idź na chwilę do tatusia. On się z tobą pobawi.

Trzyletni Oleś nieśmiało wchodził do pokoju, gdzie, leżąc na tapczanie, pan domu „czyta” gazetę.

— Tatusiu, tatusi nie czyta!

Twarz ojca była całkowicie zasłonięta ogromną płachtą gazety.

która podnosiła się i opadała rytmicznie.

— Tatu nie czyta, dobrze?

Milczenie. Wówczas Oleś wspiął się na paluszkach, kładzie obok ojca i z wolna wsuwa głowę pod gazetę.

Ojciec wreszcie huczał się.

— Co to, czego chcesz?

— Nie! „Świecie” tylko „na świecie”. Świat, no — świat, to jest, no, tego... świat. Nie zadawaj głupich pytań! Dziecko umilkło.

Ojciec znów wsadził nos w gazetę.

— Tatu nie czyta! — prosił maly.

— No, czego ty chcesz? Przyczepił się jak... Małemu usteczka zadrżały i zaczęły układać się w podkówkę.

— No i co? Może będziesz mi tu rzycał?

Na szczęście weszła mama.

— Feluś, pięciu minut z dzieckiem nie możesz porozmawiać! — powiedziała z wyrzutem.

— Oleś, uspokój się! O, widzisz, jak ta dziewczynka grzecznie idzie? Widzisz? A ty nie potrafisz?

Oleś na chwilę uspokoił się, przyglądając się dziewczynce w czerwonym kapelusiku, która właśnie mijala ich, trzymając za rękę chłopca nieco od niej starszego. Rodzice dzieci idący za nimi, uśmiechnęli się zadowoleni.

Kilkadziesiąt metrów od domu spotkali państwa Kwiatkowskich, których też wywabio z domu łagodne, przedwiośniane słońce. Panie poszły przodem, panowie za nimi. Przechodzili obok placu Komuny.

wokół siebie. Stacjonując się zewsząd i otoczyło chłopca ruchliwą gromadą. Dziecko było szczęśliwe.

— Mamo, słuchaj, jak ptaki śpiewają.

— One nie śpiewają, Oleś, tylko gruchają.

— A laciego?

— Bo gołabek nie umie śpiewać, tylko grucha.

— Laciego nie umie śpiewać?

Tego było już mamie za dużo.

— Ojciec, zajął byś się trochę dzieckiem. Nie możemy sobie swobodnie porozmawiać! Oleś, idź do tatusia... Tatusi ci wszystko ślicznie wytłumaczy!



— To na czerwiec wypuszczasz się na wczasy do Krynicy?

— Tak.

— Ze starą?

— Daj spokój! Też wczasy wymyśliła! Ona stara się o lecznicze do Buska.

— Mądrze, mądrze! A z kim jedziesz? Przecież się, pewnie z tym kociakiem, coś go sobie przysgruchał?

Tatusi wrócił się Oleś.

— Tatu też głucha? Tatusi głucha?

Pan Kwiatkowski roześmiał się.

— Oj grucha, grucha!

— Nie gadał głupstw dzieciakowi. Zacznie paplać, gdzie nie trzeba.

Ale Oleś nastawał dalej:

— Niech tatusi głucha, tatusi! Tatusi głucha!

Ojciec, chcąc się jakoś odezwać do natrętnego brzdąca, zaczął wydawać pomruki, udając gruchanie.

Oleś śmiał się uradowany.

— No, to teraz ty grucha!

Oleś „grucha” przekrzykując głowę, i wypinał gardziółko, naśladując gołębie.

Ulica była boczna, prawie pusta, z rzadka przechodzili niedzielni spacerowicze.

— A pokaż, jak biegają gołabki?

Oleś zaczął biegać po chodniku, zataczając koła i gruchając.

W ten sposób, pozbywszy się chytrego świadka, panowie mogli swobodnie zwierzać się ze swoich planów urlopowych.

Wieczorem mama myła swoją pociechę przed położeniem jej spać. Dziecko, acz już nieco senne, było jeszcze ożywione po spacerze.

— Mamo, a gdzie śpią gołabki?

— No, w domach, w różnych dziurach, na strychach.

— A co to słytych?

— To są takie jakby mieszkania pod samym dachem. O widzisz? Tam.

Pokazała ręką na przeciwległy blok. W mieszkaniach zapalono już światła.

— A laciego?

— Co laciego?

Ale dziecko nie dalo żadnego wyjaśnienia, tylko zaczęło gwałtownie gruchać i przekrzykiwać głowę, udając gołębia.

— Oleś, uspokój się!

Mama też głucha! Mama głucha! — prosił, gładząc ją rączką po policzku.

— Mamusia nie umie gruchać. Tylko gołabki gruchają.

— A tatusi też głucha.

— Tak, tatusi grucha, grucha! Jak miał dwadzieścia lat. Teraz tylko mruczy.

— Nie, tatu nie mruczy, tatu głucha, i kotek głucha!

— Kto?

— Kotek miauczy. Oleś, nie grucha. Gołabek grucha, a kotek miauczy.

— A tatusia kotek głucha!

Aha!

— Jaki tatusia kotek grucha co ty wygadujesz?

— A taki Pan Kwiatkowski mówił.

— Co ty znów? Pan Kwiatkowski?

Pan Kwiatkowski mówił: w Krynicy tatusi będzie głucha i kotek tatusia też będzie głucha. Taki! Naprawdę, mamusi! Spytał się tatusia!

Mamusia przymrużyła oczy i aż światełka cichutko ze zdumienia.

Otuliwszy już syna i ucałowawszy go na dobranoc, odchodził do łóżeczka, mruknęła do siebie:

— No, już ja wam, koteczki, pogrucham, pogrucham!...



## Między nami rodzicami...

Synek nieśmiało, uśmiechem pokrywając lek:

— Tatu nie czyta?

W odpowiedzi — nieartykutowane pomruki.

— A laciego tatusi czyta gazetę?

— No, bo, tego... Bo — czytam.

— Laciego czyta?

— No, bo człowiek powinien wiedzieć, co się na świecie dzieje!

— Cio to — „Świecie”?

— Chodź, Oleś, ubiorę cię. Pójdzmy na spacer. Stary, szykuj się. Niech Stefek ma spokój. Jutro w ich klasie repetycja z historii.

Przed domem Oleś wcisnął się zadowolony między ojca i matkę, zawisł rączkami na ich ramionach i zaczął machać nóżkami w powietrzu.

— Poobryja mi kieszenie! Chwili spokoju nie ma! — szepnął się pan Feliks.

— O, mama — jakie ptaki! — zawołał Oleś.

— To gołabki... — wyjaśniała mama.

— Cio, cio, cio! — woła uradowany Oleś.

Pani Kwiatkowska, która przychodziła tu stale karmić ptactwo, podała Oleśowi kawałek chleba.

— Masz, Oleś, nakarm gołabki!

Oleś przykucnął, zaczął kruszyć chleb, rzucając okruszyny

Oleś posłusznie poszedł do ojca. Panie rozpoczęły dyskurs o ostatecznych kreacjach „Telimeny”. Całe towarzystwo ruszyło dalej.

Oleś podał ojcu lewą rączkę, pan Kwiatkowski chwycił go za prawą. Dziecko jakiś czas szło spokojnie, ale wkrótce znudziło mu się i zaczęło podskakiwać to na lewej nóżce, to na prawej. Po kilku minutach, upomniany, szedł spokojnie przysłuchując się trudnej dla niego i bardzo niezrozumiałej rozmowie panów.

**ROZMOWA**  
**ODGŁOSÓW Z:**  
doc. dr. LUDWIKIEM STRASZEWICZEM  
kierownikiem Katedry Geografii Ekonomicznej



- 0:**
- NIEWŁÓKIENNICZEJ PRZYSZŁOŚCI ŁODZI
  - PROBLEMACH ZATRUDNIENIA
  - ZACOFANIU STREFY PODMIEJSKIEJ
  - WNIOSKACH DLA... OJCÓW MIASTA I WOJEWÓDZTWA

— Geografia ekonomiczna zajmuje się...

— Przestrzennym rozmieszczeniem zjawisk ekonomicznych na ziemi. Bada gospodarkę człowieka w określonych warunkach środowiska geograficznego, uwzględniając różnorodność warunków przyrodniczych, przemian historycznych i form ustrojowych. Zajmuje się więc rozmieszczeniem przemysłu i problemami jego lokalizacji, rolnictwem z punktu widzenia jego powiązania z warunkami naturalnymi i wpływami czynników społeczno-gospodarczych na jego zróżnicowanie przestrzenne, transportem itd. itd. Zajmuje się też formami układów przestrzennych zbiorowisk ludzkich: osadnictwem, formami i funkcjami miast i wsi, a także samym człowiekiem, ale tylko w aspekcie demografii i rozmieszczenia na powierzchni ziemi.

— A geografia ekonomiczna Łodzi?

— Zajmujemy się zagadnieniami ekonomicznymi nie tylko okręgu łódzkiego, ale i Opolczyzny.

— Przeczuwam, że z porównania obu tych okręgów wynika nie mało ciekawych uwag dla łódzian. Zaczniemy jednak od zagadnień bardziej ogólnych. Np. od zadań, jakie stoją przed Katedrą w dziedzinie dydaktyki. Z wyszczególnienia tematów jakimi zajmuje się Katedra wynika, że problem przygotowania nowych kadr do realizacji tych zadań jest niełatwy...

— W dziedzinie dydaktyki robimy to samo co i na innych katedrach: szkolimy studentów. A konkretnie poza przygotowaniem ich do zawodu nauczycielskiego specjalizujemy ich w dziedzinie planowania przestrzennego.

— Jakże są perspektywy życiowe absolwentów — magistrów?

— Część z nich obrała drogę naukową, pozostali obejmują fra-

cję w szkolnictwie oraz w różnego typu instytucjach planowania, pracowniach planów regionalnych, urbanistycznych itp.

— A w dziedzinie naukowej jakimi zagadnieniami zajmuje się Katedra?

— Jak już wspominałem, prowadzimy badania łódzkiego okręgu przemysłowego i Opolczyzny. Zajmujemy się też geografią przemysłu, zwłaszcza włókienniczego i to zarówno w Polsce, jak i na świecie.

— Czy można mówić o specyfice Łodzi w skali światowej?

— Jak najbardziej. Okręg łódzki różni się bardzo od pozostałych okręgów przemysłowych, które powstały na zupełnie innych podstawach gospodarczych. Ma on bardzo specyficzny układ osiedlenia, inne zagadnienia strefy podmiejskiej.

— I inną bazę, na której powstał...

— Tak. W literaturze światowej panuje przekonanie, że wielkie kompleksy przemysłowe mogą powstawać tylko w oparciu o górnictwo węglowe lub inne surowce kopalniane, że związane muszą być z rozwojem przemysłu ciężkiego. My w naszych pracach udowodniliśmy, że Łódź może być uważana za kompleks przemysłowy, mimo, że powstała i rozwinęła się w oparciu o przemysł lekki.

— A Manchester, Lyon, Mediolan?

— To są stare miasta a nie ośrodki, które powstały i rozwinęły się dzięki przemysłowi włókienniczemu. Miasta te i przed powstaniem przemysłu włókienniczego miały duży dorobek wytwórczy (słynne zbroje mediolanckie). Manufaktury łódzkie znane były jeszcze przed powstaniem kapitalizmu. Natomiast obecnie ani Manchester ani Lyon nie są ośrodkami produkcji włókienniczej. Są to miasta, w których przeważają inne gałęzie produkcji: metalowa, chemiczna i inne, często zresztą pracujące na zamówienia fabryk włókienniczych. Pozostały one jednak wielkimi centrami włókienniczymi jako siedziby ośrodków dystrybucyjnych przemysłu.

— Ta zmiana struktury przemysłowania jest chyba jak najbardziej prawidłowa. Przecież i Łódź powinna do tego dążyć...

— Owszem. Jestem autorem planu regionalnego Łodzi, w którym wskazuje również i na te sprawy. Pytała pani jednak o miejsce włókienniczej Łodzi w skali światowej. Otóż jest ona wyjątkowym zjawiskiem na świecie o tak olbrzymiej koncentracji w jednym punkcie zakładów przemysłu włókienniczego, wyjątkowym miastem, które powstało właśnie wskutek rozwoju przemysłu włókienniczego.

Łódź jest poza tym wyjątkiem z wielu innych powodów, między innymi również dlatego, że posiada bardzo niewykształconą strefę podmiejską, o bardzo prymitywnej gospodarce rolnej, o słabo rozwiniętych podmiejskich osiedlach mieszkaniowych i w związku z tym stosunkowo niewielkich codziennych dojazdach do miasta.

— Ta wyjątkowość Łodzi, zwłaszcza w dziedzinie zaopatrzenia rolnictwa, kosztuje nas, łódzian, немало. Brak jarzyn, fatalna ich dostawa...

— Właśnie. Do tego trudności dojazdowe... Słabe powiązanie komunikacyjne miasta z zapleczem.

— No, z tymi dojazdami to akurat w obecnej sytuacji nie podnosiłabym alarmu. Wydaje się, że naszemu miastu najmniej chyba zależy obecnie na ułatwieniu dojazdów ze strefy podmiejskiej!

— Myli się pani. Miastu powinno na tym zależeć. Właśnie takimi miastami jak Łódź, przeludnionymi, zagęszczonymi, o poważnych trudnościach mieszkaniowych Ułatwienie dojazdów do miasta nie musi oznaczać napływu nowych mieszkańców, ale właśnie rozkręcanie się terenów miejskich. Często ludność pracująca w Łodzi mogłaby mieszkać pod Łodzią w domkach jednorodzinnych lub zabudowaniach, których koszt kształtowałby się o wiele niższe niż koszt budownictwa wielokompleksowego.

— Mówi się o Łodzi, że jest drugim miastem po Warszawie i z porównania tego wysnuwa mniemanie o jej dominującym znaczeniu w hierarchii innych miast Polski. Wydaje się, że ta megalomania przynosi nam wiele złego, ślepią krytyczne spojrzenie na prawdziwe oblicze Łodzi. Bo czyż o randze miasta może stanowić tylko ilość jego mieszkańców?

— Temat ten poruszyłem w swoim planie regionalnym. Podkreśliłem, że wielkość miasta nie polega na ilości jego mieszkańców, ale na jego funkcjach. W Łodzi jest jeszcze dużo do odrobienia po kapitalistycznym zaco-

fowaniu kulturalnym i gospodarczym i wiele do zrobienia w ogóle. Zmiany przede wszystkim wymaga struktura uprzemysłowienia i zatrudnienia, nie mówiąc o warunkach komunalnych...

— W jakim kierunku idą badania na Opolczyźnie?

— Prowadzimy je na życzenie tamtejszych czynników społecznych. Badamy tam głównie zagadnienia zabudowy osiedli wiejskich z punktu widzenia możliwości aktywizacji tamtejszych gospodarstw. Z badań tych opolskie władze terenowe wyciągają daleko idące wnioski przy ustalaniu planów rozwoju województwa. Np. na podstawie naszych badań w powiatach głępczym i nyskim, określiliśmy, jakie warunki są niezbędne w zakresie inwestycji budowlanych dla rozwoju hodowli inwentarza dużego. Stwierdziliśmy również, że jedna z przyczyn dekapitalizacji budownictwa jest niedostosowanie wielkości zabudowy do struktury obecnych gospodarstw rolnych.

— Mimo wszystko wieś opolska jest chyba bardziej cywilizowana niż wieś podłódzka?

— Raczej bardziej zainwestowana. Gospodarstwo stoi na wyższym poziomie. W południowej części gleby są lepsze, a w północnej miejscowi Ślązacy lepiej umieją gospodarować. Również i władze tamtejsze wykazują ol-

brzymie zainteresowanie wszelkiego rodzaju studiami, które mogą wskazać właściwą drogę rozwoju gospodarczego. Odczuwamy dużą satysfakcję, że nasze badania są od razu praktycznie wykorzystywane. Ja sam jestem przewodniczącym Rady Ekonomicznej przy Prezydium Rady Narodowej w Opolu. Również i pozostali pracownicy naukowi Katedry są bardzo zaangażowani w prace badawcze na Opolczyźnie.

— Jak z punktu widzenia prowadzonych przez Katedrę badań przedstawia się przyszłość Łodzi?

— Przyszłość Łodzi widzę nadal taką, jaką przedstawiłem w roku 1954 w moim planie regionalnym. A więc dalsza modernizacja przemysłu i dalszy w związku z modernizacją spadek zatrudnienia w przemyśle włókienniczym. Wykazaliśmy też, że wszystkie wielkie centra włókiennicze zmieniają strukturę uprzemysłowienia. Przemysł włókienniczy przeniesiony został w strefy podmiejskie, tak jak to jest w okręgu łódzkim, manchesterkim. Zjawisko to jest nieuchronnym procesem wynikającym z cech ekonomiczno-technicznych przemysłu włókienniczego.

— A przyszłość województwa łódzkiego?

— Województwo będzie musiało przejąć obecne funkcje Łodzi w rozwoju włókiennictwa oraz rozwinąć funkcje strefy podmiejskiej. No i wreszcie wielka szansa w wykorzystaniu ścieżek miejskich przez nawiązywanie terenów na zachód od miasta.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

## Rozmaitości ze świata

Dalszy ciąg ze str. 1

wypoczynku, nabiorą niebywalej ostrości. My, Polacy, możemy sobie powiedzieć, że nie ulega jednak wątpliwości, że w ustrojach socjalistycznych rozwiązywanie tych nasuwających się całemu światu cywilizowanemu problemów będzie przebiegało spokojniej i bardziej harmonijnie, gdyż nie będzie zakłócane przez interesy egoistycznych grup kapitalistycznych. Przy okazji publicysta „Arta” przeprowadza wywód, że jednym z objawów schyłku burżuazji jest udział klasy robotniczej w organizacji pracy w przemyśle i rolnictwie i wywyższenie pojęcia pracy z poziomu niewolniczego do rangi, która przywraca ludziom pracującym najwyższą godność człowieka.

Przeciwko staremu, burżuazyjnemu społeczeństwu występuje również gwałtownie nowi pisarze amerykańscy. Truman Capote, (znany z

dwóch przetłumaczonych na polski tomików opowiadań „Inne głosy, inne ściany” oraz „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”; obecnie „Czytelnik” przygotowuje powieść tegoż autora „Harfa traw”), J.D. Salinger (znany w Polsce z przetłumaczonej książki „Buzujący w zbożu”), Norman Mailer („Nadzy i martwi”), Kerouac i inni młodzi i porażający twórcy z północy i południa Stanów Zjednoczonych. Pisarze ci nie tworzą żadnej zorganizowanej grupy. Łączą ich tylko młodość, łaczą ich święta wojna, wypowiadana cywilizacji masowej, i zgodny wyrok potępienia starego społeczeństwa amerykańskiego, które uważają za żywego trupa. Ich zdenerwowany indywidualizm znajduje dobrą definicję w formule: „W świecie bez zasad kieruj się własną odpowiedzialnością i godnością. Cywilizacji masowej należy przeciwstawić własną samostojność i wyniosłość biednego rwerca. W końcu, nie ma znaczenia, gdy pewnego razu pod twoją ośloną przylbiecia ujrza twarz blazna” ARYSTARCH



# Polska hrabina w pampasach

W od lat trwającej, bezwzględnej walce Hollywood contra Telewizja, amerykańska „fabryka snów” postawiła na giganty. Sposób wypróbowany — mobilizuje się kilku- lub kilkunastomilionową gotówkę, angażuje parę gwiazd obojga płci, tłumy statystów, a potem reklamuje się jako nowy, super-hiper film, na szerokim ekranie, czyli obiecuje publiczności coś, czego jak dotąd nie może dać TV. Jeszcze nie zakończono we Włoszech realizacji supergiganta „Kleopatry” z Elisabeth Taylor, w roli tytułowej, a już na widowni pojawił się Harold Hecht, znany producent z 7 milionami dolarów, z zamiarem stworzenia nowego magnesu dla wielbicieli ciepłych pantofli i szklanego ekranu. Będzie to „średniowieczny western o wojnie polsko-kozackiej”.

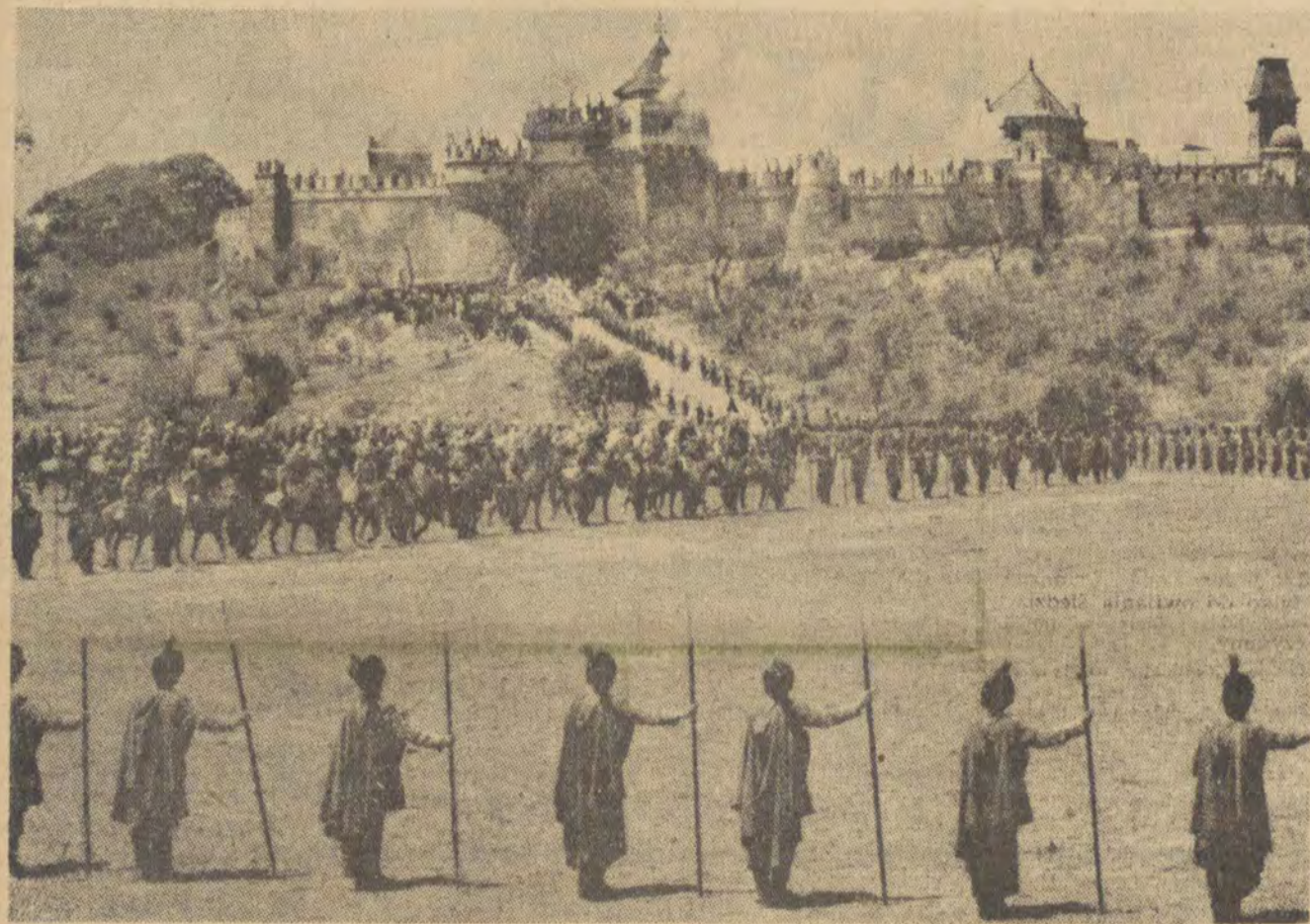
Hecht od początku postawił na rozmach — nawet amerykański „Dziki Zachód” wydał mu się zbyt cywilizowany, zebrał więc swych techników i aktorów, po czym wyjechał do Argentyny, gdzie w tamtejszym pampasie, czyli stepie rozpoczęto zdjęcia, a dowództwo armii argentyńskiej wypożyczyło 700 kawalerzystów: tych przebrano w mundury polskich żołnierzy. Natomiast gauchos (pasterze) przebrali się w Kozaków za 5-dolarową dziówkę, razem z koniem. Pastuchy i kawalerzyści walczyli ze sobą tak entuzjastycznie, że lekarze mają pełne ręce roboty nawet po zakończeniu dziennych zdjęć.

Scenariusz filmu oparto na powieści Gogola „Taras Bulba”, ale nie trzeba się spodziewać zbytnej wierności wobec oryginału, skoro pierwsze konsepty reklamowe mówią o „pięknej płomiennej miłości polskiej hrabiny do młodego

Kozaka, syna Tarasa Bulby w średniowiecznym westernie”. U stóp Andów wyrosło już średniowieczne miasto polskie (sic!) oraz zjawiała się czołowa trójka aktorska. A więc jest wraz z nieodłącznym terrierem, żoną, dziećmi i kremowym „Lincolnem” „programowo lisy” Yul Brynner. Będzie on odtwarzał postać Tarasa Bulby. Tony Curtis (widzieliśmy go w „Trapezie”) ów kozacki przedmiot miłości polskiej hrabiny także jest już na posterunku z żoną, synami i fortepianem.

Wreszcie sama heroína — polska hrabina, zaplątana w awanturę miłosną z Kozakiem. Gra ją aktoreczka, której wróżą w Hollywood przyszłość. Christine Kaufmann, 17-letnia córka Niemca i Francuzki zdobyła dość wcześnie aktorskie ostrogi, przed 10 laty po raz pierwszy wystąpiła przed kamerą. W Hollywood grała już obok Kirk Douglassa w „Mieście bez litości”, a teraz awansowała do roli polskiej hrabiny.

Kola filmowej maszyny już się kręca — Hecht wydaje swoje 7 milionów z myślą, że wróci doń z grubą nawiązką, Yul Brynner wygląda bardziej jak Tatar niż Kozak, Curtis pozostał sobą — czyli amerykańskim amantem z Broux, a mieszkańcy małego argentyńskiego miasteczka Salta mają atrakcję jedną na sto lat: My zaś nie mamy złudzeń — wiemy z wielu doświadczeń, jak sobie Hollywood wyobraża Polskę, wiemy, że z Gogola nie pozostaną nawet strzępy, ale w zamian powstanie „grand-dzieło”, na które nabiorą się miliony Amerykanów.



Skrzyżowanie Wawelu z Kremlem tak sobie w Hollywood wyobrażają średniowieczny gród polski



Polska hrabina — Ch. Kaufmann

EWA SULIBORSKA

## „Bitwa o Kozi Dwór”

Bardzo polecam ten film. Polecam nie tylko dzieciom, do których właściwie adresowany jest utwór Vadima Berestowskiego. Polecam go także dorosłym.

Książka Józefa Hena, na której oparty został scenariusz „Bitwy o Kozi Dwór”, wyrasta w kręgu tej najbardziej chyba uroczej literatury, jakiej pozostajemy wierni przez całe życie. Literatury, której bohaterami są dzieci i ich sprawy traktowane bardzo serio i z należytą powagą. Literatury przeznaczonej dla dzieci, choć ich metafora i podtekst skierowane są właściwie do dorosłych.

Berestowski zachował wszystko z tej literatury, choć jednocześnie stworzył utwór filmowy całkiem samodzielnym, niezależnym od swego literackiego pierwowzoru. Utwór rządzący się własnym rytmem, mający własny klimat i koloryt. Wyposażony w uroki niezależne od książki, w świetne aktorstwo dzieci (proszę zwrócić uwagę na dobrze rozegrane sceny bitwy) i bardzo oszczędne formalnie, niemal surowe zdjęcia Tadeusza Wierzana.

Reżyserowi udało się odtworzyć atmosferę książki, atmosferę przedwojennego przedmieścia Warszawy; brzydotę i egzotykę jej kamienic, podwojek i ulic, z cudownie niepowtarzalnymi typami mieszkańców. No i przede wszystkim atmosferę zabaw. Dlatego może ta adaptacja jest tak szczęśliwa.

Berestowskiemu udało się też w „Bitwie o Kozi Dwór” odtworzyć świat, jaki ta literatura kreuje. Świat, który wzrusza, bo należy do przeszłości i jednocześnie bawi, bo potraktowany jest z pożytkową ironią. W tym świecie odwołujemy się do czułości i sympatii nie ma miejsca na nienawiść i okrucieństwo. Nie ma w nim bowiem gorczy, ani drapieżności. Wszyscy ludzie traktowani są z rozróżnieniem. Wszyscy są dobrzy i wzbudzają sympatię. Bo też świat, którego kreację przedstawili na ekranie Berestowski i Hen musi budzić sympatię. Jest to bowiem świat naszego dzieciństwa. Obraz dziecięcych marzeń, spraw i zabaw, dziecięcych trosk i rozczarowań, niemal identyczny dla każdej generacji.

Bohaterowie Vadima Be-

restowskiego toczą swoją bitwę o Kozi Dwór trochę serio, trochę pół-zartem, toczą ją według wszystkich zasad meksykańskiego dżentelmeństwa, szlachetnie i bezkompromisowo. Budują swój fort i mają swoich wodzów. Grają w piłkę i toczą dysputy i pertraktacje należne ich wiekowi. Budują swój świat na wzór świata dorosłych.

„Bitwa o Kozi Dwór” rozgrywa się zgodnie z intencjami twórców jakby na dwóch planach. Dla dzieci przeznaczono w filmie Hena i Berestowskiego fabułę. Wyniosą z niej poza wzruszeniami pewne zasady natury moralno-etycznej, znakomity sposób na zbudowanie prostych narzędzi do walki, nie wspominając już o przepięknej budowie fortu. Jednak podteksty i aluzje fabuły ofiarowali autorzy filmu dorosłym widzom.



EWA OSTROWSKA

Niesprawiedliwością byłoby pominąć milczeniem trzeciego i ostatniego dnia Przeglądu Etyud Szkolnych PWSTF. Dziesięć filmów, które złożyły się na końcową projekcję również zasługują na ocenę.

Film J. Skolimowskiego „Pieniądze albo życie”, w porównaniu z pierwszym jego filmem „Hamleś”, skądinąd pomysłowym, poprawnym technicznie — tym razem zaprezentował poziom znacznie słabszy. Podobnie było z dokumtem K. Małkiewicza „Kolejka linowa”, schematycznym, na domiar złego z fatalnym komentarzem stwierdzającym na przykład odkrywcze prawdy: „Wszystko się zmieniło, tylko góry zostały te same”. Wreszcie do tej samej kategorii można by zaliczyć inny film dokumentalny — „Akcja 202” reż. K. Szmagiera, zbyt przewlekły i monotony, stanowiący sprzeczność z milicyjnej akcją poszukiwania nietrzeźwego kierowcy.



„Ballada o Dzikim Zachodzie”, reż. Jana Budkiewicza, to ciekawy film dokumentalny (dobre zdjęcia J. Tyszlara), z aktualnym odniesieniem tematycznym, z konkretną wymową publicystyczną i walorami społecznymi, poruszającymi problem „dzikich” dzielnic zachodniej części Warszawy, do niedawna omijanych przez plany urbanistyczne.

Jeszcze o Festiwalu

Podobnie interesująca jest „Zabawa” reż. W. Leszczyńskiego, etiuda fabularna, ukazująca duże możliwości twórcze tego zdolnego studenta. Leszczyński pokazał raz jeszcze zdecydowanie czystą, opanowaną technikę reżyserską. Montaż, konstrukcja dramatyczna, tempo narracji, tło muzyczne — przemyślane, wypunktowane, skonsolidowane — i pomimo szablonowego tematu (pirackie wyścigi na szosie), uzupełnione doskonałą pointą. Oddzielnie podkreś-

lić trzeba świetne zdjęcia Andrzeja Kostenki.

Analogiczne zalety przedstawia „De Mortuis” reż. Stefana Szlachtycy. Wybrał on temat bardzo trudny, nie wysarzczało wykazać się jak na „Zabawie” dobrą szkołą „warsztatową”. Przede wszystkim „De Mortuis” jest filmem wyjątkowo dialogowym, a więc strona literacka dialogu stwarzała istotnie niebezpieczeństwo, (wiadomo, że nawet znani scenarzyści, jak na przykład Scibor-Rylski nie zawsze najlepiej radzą sobie z dialogiem). Rozegranie sytuacji dialogowych musiało wspomóc, aby wyeksponować należycie napięcie, treść, klimat fabuły, nie zgubić nic ze zwartości akcji. Przez te wszystkie trudności reż. Szlachtyca przebrnął doskonale i dialogiem „De Mortuis” wysunął się stanowczo na pierwszoplanowe miejsce trzeciego dnia Festiwalu, a może nawet okazał się jednym z lepszych filmów Festiwalu.

Ostatecznych konkluzji zreasumowywać nie będę, gdyż do tego nie czuję się upoważniona. W każdym razie, jedno jest pewne: IV Festiwal Etyud Szkolnych nie naruszył ustalonego dobrego imienia Szkoły Filmowej. Daje dobre prognozy na przyszłość.

odgłosu str. 3







# HERR MINISTER STRAUSS ma kłopoty

Dokończenie  
ze str. 1



J. E. Kapfinger

„nawiązując do wczorajszej rozmowy w Monachium” pozwolił sobie przedstawić szczegóły swej zawodowej kariery, po większej części wyszane z pałca. W końcu listu prosił ministra o protekcję u odpowiedniej instancji w Monachium. Na marginesie listu Strauss własnoręcznie skreślił kilka zdań polecających, nadmieniając, że petentowi chodzi między innymi o udział w budowie koszar. W kilka dni później Schloss otrzymał z Ministerstwa Obrony potwierdzenie odbioru swego listu oraz wiadomość, że jego sprawa została przekazana właściwym czynnikom. Obecnie przed sądem norymberskim toczy się spór czy oddolny departament w ministerstwie obrony, odpowiadający w zastępstwie nieobecnego Straussa, obiecywał rzeczywiście interwencję. Cała ta sprawa ma dodatkowy smaczek, jak sugeruje prasa, gdyż rozgrywa się przed sądem norymberskim, a zatem ani w miejscu siedziby ministerstwa (Bonn), ani w Hamburgu, gdzie znajduje się redakcja czasopisma „Der Spiegel”, które wywlekło tę aferę na światło dzienne i zostało oskarżone przez Straussa o zniesławienie ani też w Rott, gdzie mieszka pan minister Strauss. Ową twierdził natomiast, że działał w tym wypadku zgodnie z regulaminem przekazując prośbę Schlossa normalną drogą służbową. Skoro tak, pytają dziennikarze, to jaka instancja i w jakiej formie sprawdziła owe imponujące dane o kwalifikacjach „architekta” Schlossa. Z zeznań zainteresowanych osobistości wynika, że nikt absolutnie nie zatroszczył się o to... Pulkownik Werner Repenning, który pełnił wówczas funkcję osobistego sekretarza Straussa zeznał przed sądem, że 24 marca 1960 roku o godz. 18 Schloss przybył na audyencję u Straussa, którą mu wyrobił dr Kapfinger. A więc ten sam człowiek po raz wtóry zabiegał o sprawy sprytnego przedsiębiorcy. Przyjmijmy na razie że zabiegał o nie zupełnie bezinteresownie. Świadek zeznał następnie, że wkrótce po tej wizycie Strauss polecił mu dowiedzieć się w monachijskiej komendzie wojskowej, jakie projekty wykonał już Schloss dla nich. Z dalszych zeznań pulkownika wynika, że jednak Schloss miał wysoko postawionych protektorów w Bonn, którzy zdalnie czu-

wali nad jego monachijskimi interesami. Najprawdopodobniej Strauss wykorzystywał swoje znajomości wśród kolegów z innych resortów, których głos był dla sprawy Schlossa bardziej rozstrzygający. Oczywiście, przychylna opinia ministra wykluczała jakiegokolwiek podejrzenia. I niktomu nie przyszło nawet do głowy sprawdzić zawodowych kwalifikacji rzekomego architekta. Tymczasem Rada Architektów już kilkakrotnie odrzucała prośbę Schlossa o przyjęcie do Związku Architektów i to z bardzo prostych powodów: ukończył jeden semestr i nie potrafił wykazać się żadnymi poważniejszymi pracami. W związku z tą decyzją Schloss uskarżał się w liście z marca 1960 roku do rządu Górnej Bawarii, że prawodawstwo demokratycznego państwa podważa jego egzystencję i dobre imię. Mimo to doskonale dawał sobie radę. Ostatecznie stał za nim nie byle kto. Zaledwie w dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu ze Strausssem w Monachium wyjechał Schloss na koszt państwa do Passau aby przejąć roboty w nowo powstającym ośrodku wojskowym. Pierwszego lutego 1960 roku otworzył Schloss biuro architektoniczne. To się nazywa działać! Obliczono skrzętnie, że w okresie od 1 grudnia 1959 roku do 18 maja 1961 r. Schloss przejął całkowite zlecenia na sumę 1.590.000 marek, częściowe zlecenia wyniosły 567.500 marek, zainkasował zaś honorarium w wysokości 48.978 marek. Oczywiście, niewiele inwestycji powstało według dostarczonych planów, natomiast honorarium zostało wypłacone co do feniga.

W międzyczasie doszło do wspomnianego już drugiego spotkania Schlossa z ministrem. Naturalnie, Schloss nie omieszkiał oślnić ministra swoimi projektami budowlanymi i interesującymi kontak-

tami z amerykańskimi władzami wojskowymi. Schloss nie bez kozery wspominał o tym licząc, że i tym razem uda się nakłonić Straussa do pomocy. Ostatecznie była to branza pana ministra! W tym czasie bowiem Główna Kwatera Armii Amerykańskiej w Europie zamierzała wybudować około 5.000 mieszkań dla rodzin wojskowych stacjonujących w NRF. Według zeznań Repenninga, Strauss okazał żywe zainteresowanie tą sprawą. Polecił przeło Schlossowi przygotować szczegółowe plany i omówić je z szefem departamentu nieruchomości w Ministerstwie Obrony, drem Kaumannem. Tak się też stało. Początkowo Amerykanie sądzili, że inwestycją tą zajmie się sam rząd NRF, w przeciwnym razie Główna Kwatera zastrzegła sobie prawo zawierania umów bezpośrednio z prywatnymi przedsiębiorcami. Ponieważ rząd NRF nie przyjął oferty, pozostało drugie rozwiązanie. Toteż w tej sytuacji musiała się wydać bardzo podejrzana gorliwość Ministerstwa Obrony, które nie mając żadnych podstaw do działania, tak troskliwie zajęło się sprawą Schlossa. Tym bardziej to dziwi, że inne firmy zgłaszające się w tym celu do Ministerstwa zostały odprawione z kwitkiem. Przewidując trafnie daleko idące poparcie ministra Straussa, Schloss przystąpił natychmiast do akcji. Już 16 kwietnia 1960 roku zorganizował, zresztą fikcyjną spółkę w celu wykonania tzw. Housing-program w NRF, z kapitałem zakładowym 500 tysięcy marek, do której weszli: dr Kapfinger, ów wypróbowany przyjaciel Straussa i niezbędny pomocnik oraz Karl Willy Braun, przedsiębiorca budowlany. Niezależnie od umowy, którą podpisała spółka, akcjonariusze jeszcze tego samego dnia zawarli oddzielny układ z drem Kapfingerem, poświadczony rejentalnie, a paragraf 4 tego układu brzmiał następująco: „Pan dr Kapfinger otrzyma od założycieli spółki akcje o wartości 125 tys. marek (25 proc. kapitału zakładowego). Te akcje o wartości 125.000 marek otrzyma pan dr Kapfinger bezzwrotnie pod warunkiem, że spółka otrzyma zlecenie wykonania amerykańskiego Housing-program” a paragraf 6: „Pan dr Kapfinger oświadcza, że jest gotowy wykorzystać wszystkie swoje stosunki w celu idealnego przeprowadzenia projektu”. Rzecz prosta należało hojnie wynagrodzić uczynnego dra Kapfingerę, który cieszył się przecież przyjaźnią samego ministra Straussa. Zresztą dr Kapfinger lubił tego typu transakcje. Już wcześniej prowadził równie podejrzaną machinację ze Schlossem. Ponieważ jednak spółka nie dysponowała taką wielką sumą, o pomoc finansową zwrócono się do hamburskiego kupca Seiferta, znanego z różnych malwersacji i karanego sądownie za „piractwo gospodarcze w wielkim stylu”. Z kolei Seifert dokooptował dwóch członków,

Niemca i Amerykanina. W ten sposób spółka była przygotowana do akcji, a i dr Kapfinger nie zasypiał gruszek w popiele. Prowadził rozmowy, sondował opinie i przynaglał przez wspólników zorganizował wreszcie w swojej monachijskiej willi spotkanie ze Strausssem. Odbyło się ono 17 maja 1960 r. O czym rozmawiali ci panowie między godziną 22 a 2 w nocy nie trudno się domyślić. Wyszło to zresztą na jaw po niedługim czasie. Tymczasem 31 maja Schloss zaawansowany uprzednio przez niedoścignionego Kapfingerę, zjawia się w Bonn. Strauss nie zastaje, wręcza natomiast obszerny memoriał, gdzie znów powołuje się na swoje doświadczenie przy wykonywaniu podobnego projektu dla Amerykanów we Francji. Jak się później okazało, Schloss uczestniczył jedynie w konkursie na ów projekt i ostatecznie został wyeliminowany. W tym memoriale dodaje jeszcze, że sprawa dojrzała do szybkiej decyzji. Po powrocie z Paryża Strauss robi odręczną notatkę, krótką i zwięzłą: „pilne!” Ale Schloss nie tylko oddaje obszernie pismo, przyjmując go szef departamentu dr Kaumann i to na polecenie Straussa. Wszystko szło więc nadzwyczaj sprawnie i Schloss nie miał chyba powodu do narzekań. I tym razem nie zdziwiło nikogo, że załączone do listu projekty i obliczenia tak wielkiej inwestycji naniósł na pięć kartek. Następnego, pierwszego czerwca, Strauss wrócił do Bonn i tegoż dnia przyjął Schlossa. A co ważniejsze, kazał wygotować dokument, który narzeczcie dawał realne szanse załatwienia fantastycznego interesu. Ów dokument, podpisany przez Straussa i adresowany do zainteresowanych władz amerykańskich (z napisem: „To whom it may concern”) potwierdzał 1. istnienie spółki Schlossa, 2. złożenie w ministerstwie planów budowy i kosztorysów Housing-program (?) oraz 3. poparcie dla schlossowskiej inicjatywy. Oto treść:

„Pozdrawiam i popieram opracowanie tej inwestycji, ponieważ służy ona przeprowadzeniu planu leżącego w naszym wspólnym interesie. Proszę udzielić poparcia panu Schlossowi w jego dalszej pracy”.

Jak potwierdzają zeznania przed sądem Schlossa i jego pracownika architekta Suskego (po jego odejściu biuro architektoniczne Schlossa przestało praktycznie istnieć) pismo to przygotowano w ministerstwie w ciągu jednego dnia! A co zabawniejsze, Schloss sam je zredagował; w ministerstwie przeprowadzono tylko nieznaczny korektę i usunęło nazwisko Gatega ministra obrony USA. Prasa zachodniemiecka skrupulatnie przeanalizowała ten dokument. Między innymi zwrócono uwagę na zdanie, iż „Schloss zorganizował spółkę aby zrealizować



Tomasz S. Gates i Franciszek Józef Strauss  
21 marca 1960 r. w Bonn

w/w projekt”. Czy minister, zapytany, może swoim podpisem potwierdzić działalność spółki, którą założono fikcyjnie i która nie figurowała w żadnym urzędowym rejestrze?

Ale Schloss nie był w pełni zadowolony. Nie miał bowiem w ręku odpowiedniego dokumentu, a mianowicie listu polecającego do ministra Gatega. Jak pamiętamy, poprzedni trik się nie udał. Czas naglił. I aby zasnąć głębiej, samemu źródłu, Schloss wybrał się do Waszyngtonu. Tutaj, 17 czerwca 1960 r. udało mu się złapać Straussa w hotelu nowojorskim. Minister był bardzo zajęty. Cała rozmowa trwała zaledwie minutę. Schloss zdążył tylko szepnąć ministrowi za radą Kapfingerę, żeby zechciał interweniować w wiadomej sprawie u ministra Gatega. Strauss miał zachnąć się na tę propozycję, wściekły, że natręt nagabuje go na oczach korpusu dyplomatycznego i generalów. Istotnie, moment był wielce niefortunny: minister Strauss brał udział w uroczystościach z okazji Dnia Niemieckiej Jedności. (!)

„Po powrocie z Nowego Jorku — zeznał przed sądem Schloss — udałem się wprost do willi pana dr Kapfingerę w Monachium. Po wiedziałem, że pan minister Strauss odrzucił moją propozycję zwrócenia się do ministra Gatega. Na to oświadczył mi pan dr Kapfinger: wobec tego musi on napisać do Gatega”.

I rzeczywiście tak się stało. W trzy dni po niefortunnym spotkaniu nowojorskim, to znaczy 20 czerwca 1960 r. pisał dr h. c. Franz Josef Strauss do „Wielce Szanownego Pana Kolegi” Gatega z Pentagonu... I tym razem Strauss nie był zbyt ostrożny. Zastrzegł wprawdzie, iż cały ten projekt nie interesuje bezpośrednio Ministerstwo Obrony, to jednak powtórzył dwukrotnie, że Ministerstwo sprawdziło dokładnie wszystkie złożone plany Schlossa i uznało je za wykonalne... No cóż, Schloss mógł się teraz uważać za człowieka, któremu uśmiechnęła się fortuna. Podobnie zresztą dr Kapfinger, który z początkiem sierpnia tego roku otrzymał nawet od Straussa kopię listu do Gatega z dodatkowym komentarzem zatytułowanym „Lieber Hans!” W między-

czasie Strauss zdążył się zorientować, że perspektyw „Housing-programu” rysują się dość mgliście. Jak wiadomo, ustępujący rząd Eisenhowera wydał wówczas szereg zarządzeń o charakterze oszczędnościowym i ograniczył także wyjazdy członków rodzin wojskowych. Stąd też Strauss próbuje wyjaśnić Kapfingerowi swoją taktykę wobec władz amerykańskich w sprawie Schlossa. Nie należy, pisał, zbyt natrętnie forsować planu Schlossa, gdyż może się to wydać podejrzanym.

Ostatecznie, tak misternie tkany plan nie doszedł do skutku. Amerykanie zrezygnowali z tej inwestycji, spółka zwana „Fibag” rozleciała się, zdeaktualizował się układ o wypłaceniu Kapfingerowi 125 tysięcy marek, a Lothar Schloss musiał zamknąć swoje biuro.

Ale epilog tej sprawy trwa nadal przed norymberskim sądem. Minister Strauss używa wszelkich sztuczek, żeby wybielić się w oczach opinii publicznej, a tym, którzy odważyli się napiętnować całą tę korupcję zabrania się dalszych publikacji i grozi więzieniem. Dość trudno jednak będzie odeprzeć te wszystkie argumenty, które ciągną na pana ministra. Jak pamiętamy jest ich sporo. Dalsze zeznania świadków odkrywają szczegółowy mechanizm afery. Między innymi Karl Willy Braun, który wspólnie ze Schlosssem zobowiązał się wypłacić Kapfingerowi 125.000 marek za jego usługi, zeznał pod przysięgą: „Po podpisaniu umowy — S. K.) pan dr Kapfinger nie mógł ukryć przede mną i panem Schlosssem swego zadowolenia z dokonanej transakcji i oświadczył, że zrobił świetny interes (Bombengeschäft — S. K.) bez żadnego ryzyka i udziału. Jednocześnie wyraził ubolewanie, że będzie musiał podzielić się swoim zyskiem z panem ministrem J. F. Strausssem. Podkreślił jednak, że bez ministra Straussa nie można by przeprowadzić tego projektu i wobec tego nie wolno mu przywłaszczać sobie jego części”. Potwierdził to w całej rozciągłości Herr Schloss. — Proces trwa.

Und was sagen Sie darauf, Herr Minister?

opr. na podstawie „Der Spiegel” S. K.

## Słonimski obleżony

Taki obrazek: łódzki Klub Dziennikarzy, parę zestawionych stołów, gwarno. Marian Piechal i Władysław Rymkiewicz, naczelny „Odgłosów” Wiesław Jażdżyński i naczelny „Karuzeli” Leopold Beck Igor Sikirycy i Jarosław Marek Rymkiewicz, kilku dziennikarzy pism codziennych.

Małeńkie kieliszki. Koniak. Gdzieś z brzęku przycupnął nieduży, starszy pan o ostr. h. charakterystycznych rysach. Słonimski.

Ożywiony, aktywny, syple anegdotami, przeskakuje z tematu na temat. — Gombrowicz w tej swojej Argentynie

powiesił obrazy do góry nogami. Taki ekscentryk. Ale ja odkryłem, że mieszkając na antypodach powiesił je prawidłowo. Tak, jak wisiałyby w Polsce...

— Brydź to znakomita gra. Przede wszystkim uczciwa, uczy odpowiedzialności za słowo, choćby za słowo „kontra”...

— Telewizja? Zbyt często zdarza się tam piractwo, zupełnie nieleczenie się z autorem. Przypadkiem dowiedziałem się, że realizują program oparty na książeczce „W oparach absurdu”. Aż mnie zatrząsło; przecież znalazłbym w domu teksty, lepsze, cie-

kawsze, aktualniejsze. Oczywiście honorarium wywalczyłem, ale...

— Jak to było z Majakowskim i Ważykiem? Odprowadziłem go na dworzec, ja nieduży, Ważyk też mały, gdy w pewnej chwili Majakowski odwraca się i pyta basem: — A etot mikrob toż u was poet?

Anegdota. Niektóre, aż serce kraje, za dosadne. Innych trzeba by posłuchać w oryginalnym wykonaniu — zapisanie odbiera im wdzięk.

Ktoś burzy nastroj. Pyta o młodą poezję. Jeden z kolegów dziennikarzy wspomina coś o wywiadzie,

Słonimski aż podskakuje na krześle. — Wszystko, tylko nie wywiad! Łagodnie, dodaje tonem perswazji: — Między innymi dlatego, że wówczas pieniądze bierze ktoś inny.

— Młoda poezja. Rozróżniał dobrą i złą poezję, nie młdą i starą. Tyle lat już o tym mówię i piszę.

Czas płynie. — Może już pójdę — mówi Słonimski — mam jeszcze wieczorem spotkanie ze studentami. Przygasa. Jest zmęczony, poprzedniego dnia miał spotkanie w łódzkim oddziale ZLP, teraz przetrzymał formalne obleżenie.

Dopijamy koniak. Stolik pustoszeje i w łódzkim Klubie Dziennikarzy robi się jakby trochę smutniej.

## PIĘĆ LAT

Już pięć lat działa w naszym mieście Wydawnictwo „Odgłosy”. Pięć lat pracy, za którymi kryje się 166 pozycji książkowych o łącznym nakładzie ponad milion egzemplarzy. Ostatnio w Klubie MPiK otwarto właśnie z okazji owego skromnego jubileuszu wystawę obrazującą pięcioletni dorobek Wydawnictwa. Jest to już druga w ostatnich tygodniach Wystawa Książki w Łodzi. Byłoby na pewno niezłe, gdyby podobne ekspozycje stały się u nas tradycją.

Na wystawie w Klubie dominuje poezja. Wiadomo bowiem, że Wydawnictwo „Odgłosy” otacza ten nie najbardziej przebiegły opieką. Oczywiście poezja nie rości sobie prawa wyłączności w planach wydawniczych WL. Jak informuje nas plansza w bieżącym roku obok 24 pozycji z literatury pięknej znajdzie się aż 16 książek popularno-nauko-

wych. Poza tym Wydawnictwo da czytelnikowi łódzkiemu 7 książek dotyczących naszego miasta. To bardzo radosne cyfry. Łódź, w której co najmniej 50 proc. mieszkańców stanowi powojenny nabytek lokalnego, twórczego patriotyzmu. Do jego powstania na pewno w niemалym stopniu przyczynia się popularizatorskie pozycje Wydawnictwa „Odgłosy”. I to jest jedna z wielu przyczyn, dzięki którym możemy śmiało mówić o naprawdę wybitnej roli, jaką Wydawnictwo spełnia w tworzeniu atmosfery kulturalnej w naszym mieście.

J. W.

odgłosy str 5



# CO ROBIĆ?

Wygłądał na dwudziesto-letniego chłopca, kiedy milicjant wprowadził go na salę sądową. Miał na sobie zniszczone spodnie i stare buty, zamiast marynarki więzienna bluza i rozchełstana, nie bardzo czysta koszula. Twarz była dziwna — na pierwszy rzut oka wydawała się młodzieńcza, wesoła i ładna. Prostą nos, wysokie czoło, jasne oczy. Kasztanowe włosy miał zaczesane do góry, ale na czubku czaszki prześwitowała lysiina. Jednak gdy się baczniej przyjrzało, widać było, że ta twarz nie jest młoda, ale że na sali prawie nie nie słyszał. Ludzie z ławek ciekawie wyciągają szyję. Widać, że przykro jest sędziemu i przykro świadkowi.

— Od dziesięciu lat — zeznaje Pajak drżącym głosem — posiniaczona. Do sprawy załączam dwie obdukcje...  
— Wyzywał panią?  
— Tak.  
— Jakimi słowami?  
— Najgorszymi wyrazami...  
Ja... Ja się wstydzę powtórzyć.  
— A matkę bił? — kontynuuje sędzia.  
— Tak... czasami też.  
— I wyzywał?  
— Wyzywał.  
— Tak samo jak świadka?  
— Tak samo.  
— Ile lat liczy sobie matka?  
— Siedemdziesiąt.  
Wymiana tych zdań odbywa się cicho, tak że na sali prawie nie nie słyszał. Ludzie z ławek ciekawie wyciągają szyję. Widać, że przykro jest sędziemu i przykro świadkowi.

## Z notatnika prokuratora

— to znaczy od śmierci ojca — na moim wyłącznym utrzymaniu, bo matka zajmowała się zawsze tylko gospodarką. Co mogłam, to im dawałam. Nie mogłam dać zbyt wiele, gdyż jestem sklepowa i nie zarabiam tyle, by móc na odpowiednim poziomie utrzymać czteroosobową rodzinę, ale nigdy przecież nie byli głodni i mieli dach nad głową.

— Świadek mówi o obydwóch swoich braciach? — pyta sędzia.

— Tak.

— Niech pani mówi tylko o oskarżonym.

— Dobrze, chociaż oni są jednakowoż, jak jeden wraca z więzienia, to drugi idzie do więzienia i tak w kółko.

— Nas interesuje tylko oskarżony.

— Tyle było spokoju, co siedział w więzieniu, lub przebywał w szpitalach, sanatoriach albo zakładach dla alkoholików, a i to z tych zakładów uciekał, ile razy mógł, lub wyprawiał takie awantury, że go przedterminowo zwalniano albo całkiem wyrzucano. Wtedy zjawiał się w domu i od razu żądał pieniędzy na wódkę, na papierosy, na różne swoje wydatki, a gdy ich nie otrzymywał, zaczynał się rozróbki. Dla świętego spokoju oddawałam czasami ostatnie grosze, ale nigdy nie było dość. Awantura szła za awanturą, obraza za obrazą, aż dochodziło do gróźb i rekinów. Nie było chwili wytchnienia. Całe noce nie mogłyśmy z matką usnąć, bo w nerwowym napięciu czekałyśmy na jego powrót. Często przychodził kompletnie pijany. Co mu sprawiłam, to wszystko sprzedawał na wódkę. Ileż to razy sprzedawał

ubranie i przychodził w jakichś lachmanach lub boso, bo sprzedał obuwie. Nie słuchał żadnych słów, żadnych upomnień, żadnych błagań. Serce mi się krajało, gdy patrzyłam na upadek moich braci, na stacanie się w coraz większe bagno. Ale co mogłam poradzić? Na przykład ostatnio, przed aresztowaniem nie mogłam pogodzić się z tym, że chodził w chłodne dni w jednej marnej marynarce; wybiłam i pożyczłam bardzo dobrą jeszcze jesienkę, ale nosił ją tylko trzy dni, czwartego dnia sprzedał i przepił, a już przecież zjadła go gruźlica. Zupenie nie rozumiał, że to straszna choroba, nie chciał się leczyć. Nie mogłyśmy słuchać, gdy kaszał, charczał i splotał ciele noce, chociaż miał miejsce w sanatorium i tam się powinien był znajdować. Byłam już tak strasznie znieczczona tym życiem, tymi awanturami, tym brakiem jakiegokolwiek nadziei, że już myślałam o samobójstwie, lecz siostra zajęła się naszym losem, dała znać do prokuratora... i ten nieszczeniśnik jeszcze raz trafił do więzienia.

Kończy swe zeznanie płacząc w ścis.

Karol Pajak słucha tych słów. Pochylił głowę.

— Czy o wszystko prawdę? — pyta sędzia.

— Wcale nie piję wódki — oświadcza — tylko piwo. Jestem tak słaby, że wystarcza butelka piwa, abym się upił. Ważę obecnie tylko 50 kg.

— Ale oskarżony maltretował, bił i obrażał obecnymi najbliższymi. Czy to było warte tej butelki piwa?

— Nie, nie — mruczy — bić, to ja wcale nie biłem... nigdy, tylko najwyżej czasami co powiedziałem. Bo ja, proszę Wysokiego Sądu, jestem bardzo nerwowy, ale nie jestem wariatem, a one chciały mnie zamknąć do wariatów.

— Jak to było?

— Jak ostatnio powróciłem z więzienia — opowiada płaczącym głosem — to nie chciały mnie przyjąć. Brzydziły się mnie. Powiedziały, że pozarażam je gruźlicą i nie daly mi spać w łóżku, tylko spałem w kuchni na podłodze, na kupie lachmanów. Bywało też, że nocowałem na schodach, bo nie chciały mnie wpuścić, a i jeść też mi często nie dawały.

— To oskarżony ostatnio powrócił do domu z więzienia?

— Nie — odpowiada niechętnie — to było innym razem, a teraz to powróciłem z sanatorium w Tuszniku.

Sędzia powoli przewraca akta sprawy.

— Właśnie mamy tu dokumenty stwierdzające, że oskarżony już kilka razy uciekał z sanatorium i z zakładu dla alkoholików. Czy to się zgadza?

Karol Pajak milczy pośpiesznie.

Z zeznań wszystkich świadków wynika, że oskarżony ze względu na choroby i słabą konstytucję fizyczną, unikał zaczepki i awantur z sąsiadami, natomiast w domu swej matki i siostry czuł się mocno; drzewi zazwyczaj otwierał kopniakiem, jeśli były zamknięte, to kopał je tak długo, aż mu otworzyły albo zabierał się do wyłamywania. Odgłosy rozpierania rodzinnych drzwi dochodziły do uszu świadków. Opisali oni też niezwykle

cierpliwość, ofiarność, miłość siostrzaną Weronikę Pajak. — Inna by sobie życie jakiejś osobiste zbudowała — zeznawała Magdalena Krepiec — a miała warunki, bo kobieta przystojna, gospodarna, pracowita, ale ona wszystko poświęciła dla tych drabów i nicponiów. Nie powinni wyłaź z kryminału, a najlepiej by było dla nich i dla nas wszystkich, gdyby ich wcale nie było na świecie. Po co oni komu? Pszczoly niszcza swoje trutnie, a ludzie ceregielują się z takimi...

Sąd po naradzie uznał Karola Pajaka winnym zarzucanego mu czynu i skazał go na jeden rok więzienia. W uzasadnieniu wyroku sędzia podniósł między innymi, że za występki oskarżonego, zwłaszcza gdy jest recydywistą (oprócz licznych kradzieży był już karany za czyn tego samego rodzaju), Sąd mógłby wymierzyć oskarżonemu karę znacznie surowszą. Sąd jednak stanął na stanowisku, że należy dać Karolowi Pajakowi jeszcze jedną szansę. Sąd wyraża przypuszczenie, że po odbyciu kary oskarżony opanuje się, zrozumie, że alkohol jest jego strasznym wrogiem, powróci do społeczeństwa i stanie się jego pożytecznym członkiem. Zdobędzie sobie wówczas prawo do normalnego, ludzkiego życia, do założenia domu rodzinnego i posiadania dzieci. Sąd ufa, że oskarżony wykaże maksimum zrozumienia i dobrej woli, że sam dopomoże społeczeństwu w akcji ratowania go, że wytworzy w sobie silne pragnienie poprawy, wyzdrowienia, odejścia od swoich nałogów i odróbną skrupuły.

Sytuacja jest w tej chwili tak paradoksalna — mówi sędzia, że jedynie więzienie jest miejscem ratunku dla oskarżonego. W więzieniu oskarżony nie pije, nie kradnie, nie maltretuje swej rodziny i w ogóle zachowuje się wzorowo, a przy tym jest systematycznie leczony. Ale przecież oskarżony nie może całego życia spędzić w więzieniu. Sąd wierzy, że oskarżony posiada jeszcze resztki sumienia i rozsądku, i uczyni wszystko, aby się poprawić.

Rozprawa skończona. Wszyscy się rozchodzą. Pajaka wyprowadza milicjant. Nie okazał on ani zdziła skrupuły, ani nie obiecał najmniejszej poprawy. Jest to już strzęp człowieka, w którym zostało jeszcze tyle uczciwości, że nie obiecuje, gdyż wie, że nie z tego nie dotrzyma.

Po rozprawie z nieodpartą mocą nasuwa się pytanie: co robić z Pajakiem i tysiącami (a może dziesiątkami tysięcy) jemu podobnych? Dostępne społeczeństwu środki: sanatoria, zakłady przymusowego leczenia, wreszcie więzienia — nie pomagają. A problem istnieje i musi się go w końcu jakoś rozwiązać.

- 1) nazwiska zostały zmienione.
- 2) art. 23 Ustawy z dnia 10.XII.1939 roku „O zwalczaniu alkoholizmu” stanowi: „Kto pod wpływem alkoholu znęca się fizycznie lub moralnie nad członkiem swojej rodziny albo nad osobą pozostającą w stosunku zależności od sprawcy, podlega karze więzienia do lat 5”.



## Mój mąż odsiaduje karę...

Właściciel fabryki z lat międzywojennych cenil sobie pracę kobiety, gdyż była ona tańsza niż mężczyzny. Sprawy komplikowało nieco ustawodawstwo, które nakazywało ochronę pracy kobiet. Ustawa z 1924 roku mówiła o konieczności zakładania żłobków w każdym zakładzie, który zatrudniał powyżej stu kobiet. Oczywiście, budowa specjalnych pomieszczeń na żłobki, odpowiednie ich wyposażenie, opłacenie personelu, wymagało nakładów pieniężnych, a więc czynności, których żaden fabrykant nie lubi.

Wspomniana ustawa nie obejmowała dziewcząt w wieku — 15—18 lat, a więc matek najmłodszych, często bezradnych i samotnych. Co więcej, ustawa nie była realizowana. Żłobki istniały jedynie w Zakładach Monopoli Tytoniowego, Spirytusowego, Zapalczanego, w niektórych zakładach wojskowych, w sumie kilkanaście na cały kraj.

I jeszcze jedno — ustawa była w założeniu nieuczuwa. Pracodawca nie miał prawa zwalniać kobiety ciężarnej na 6 tygodni przed porodem i tyleż tygodni po rozwiązaniu. Mógł jednak zwolnić kobietę wcześniej albo później. Tak też zazwyczaj czynił.

Przeprowadzenie jakiegokolwiek poważniejszego lustracji pracy kobiecej było w praktyce niemożliwe. Na około 215 tys. kobiet pracujących mieliśmy na kilka lat przed wojną zaledwie 8—10 inspektorów pracy.

W latach poprzedzających wojnę nagminnym zjawiskiem stało się porzucanie dzieci przez matki pozbawione środków do życia. Na terenie Domu Wychowawczego dla Niemowląt w Łodzi przebywało w 1938 roku — 142 porzucone dzieci. 72 niemowlęta pochodziły od matek pracujących jako służące. 70 miało rodziców niewiadomego pochodzenia, 138 a więc przetrzaśniała większość do dzieci nieślubne.

Matki porzucały swoje dzieci zazwyczaj w jakimś ruchliwym punkcie miasta, często w lokalu Opieki Społecznej, albo na ulicy.

Łódzki „Głos Poranny” (nr. 326 1935 r.) pisał:

„W Wydziale Opieki Społecznej Łódzkiego Magistratu 26.XI. 35 matka opuściła dzieci. Były

11-letni Władysław G., 9-letni Feliks G., 8-letni Ignacy G., 3-letni Jerzy G. i 1,5-letnia Maria G. Okazało się, że rodzina G. pozostawała ostatnio w skrajnej nędzy. Zostali wyeksmitowani i już dwie doby sypani na ulicy”.

W tym samym numerze:

„W lokalu gminy żydowskiej, przy ul. Pomorskiej 18 znaleziono troje dzieci, z których najstarsze posiadało następującą treść kartkę, napisaną przez matkę: „Mój mąż odsiaduje karę 4-letniego więzienia za przestępstwo polityczne. Znalazłam się z dziećmi bez środków do życia. 20 maja zostałam wyeksmitowana z mieszkania przy ulicy Żeromskiego 41. Walestałam się z dziećmi od tego czasu do dnia dzisiejszego, tj. do końca czerwca. Więcej wałczyć z losem nie potrafie, postanowiłam popieścić samobójstwo. Proszę błagalnie, by dzieciom zaopiekowała się gmina żydowska. Estera J.”

Magistrat łódzki starał się możliwie szeroko prowadzić akcję opieki nad matką i dzieckiem. W praktyce dysponował zakładem wychowawczym dla niemowląt na 120 miejsc, kilkoma zakładami dla młodzieży do lat 18, Magistrat subsydiował „Kropkę Mleka” i Towarzystwo Ochrony Zdrowia.

Trzeba jeszcze wspomnieć filantropijną działalność towarzystw, inicjatywy niektórych rodziców w szkołach. Dzięki nim prowadzono akcje żywienia dzieci. Były to wszakże inicjatywy małe, które nie mogły zmienić katastrofального stanu rzeczy.

Gdy ty zainicjujesz dyskusję np. o lwie, głupiec zwraca ci uwagę na pchły w jego kudłach. Ty o lwie, a ten ciągle o tych pchłach. Ty o wystrzale, któryś oddał do tego lwa, a głupiec ciągle o swadzie i kłębach dymu po tym wystrzale. Czyż może być inaczej, gdy u niego głowa pełna, zamiast myśli, dymu? A ileż właśnie takich głów w każdej publicznej dyskusji?

Casus dementis correctio fit sapientis.

## Sedno rzecz MARIAN PIECHAL

## Po wystrzale dym...

Jest takie powiedzenie: „Kiedy nie potrafisz, nie pchaj się na afisz”. Niestety, w praktyce codziennej widzimy co innego: ci, którzy najmniej potrafią, pchają się najwięcej. Zwłaszcza — jak mówi pewien współczesny satyryk — „w naszym skłóconym czasie każdy do dyskusji pcha się”. W tym względzie „korzysta” z wolności świętej i mędrze, i w móżg koniety”. I tu właśnie zaczyna się tragedia.

Dopóki Sokrates dyskutował z Ksenofontem, Arystofanem, Alcybiadesem, Protagorasem, Agatonem, Fajdrossem czy Fedonem — wszystko było w porządku — i on korzystał z tej dyskusji, i oni korzystali, a zwłaszcza korzystali z tej dyskusji, która była tematem ich dyskusji. Byli to bowiem dyskutanci różni, mający nieraz wprost przeciwne sady i zdania, ale mniej więcej na godnym siebie poziomie wiedzy i sprawności intelektualnej. Zaczęła się tragedia, kiedy w dyskusję z

Sokratesem wdał się tępą a zarozumiałym Meletos i cały tłum jemu podobnych, którzy swymi prymitywnymi argumentami spowodowali kłeskę jednego z największych mędrców świata. Sąd ateński ulegając presji demagogicznych głupców skazał Sokratesa na śmierć. Tak to — od tego czasu datuje się ową słynne przysłowie — g ł u p s t w o r o z u m z j a d ł o.

Motloch, który przyczynił się do zguby Sokratesa, nie znał dosłownie jego filozofii, znał tylko domniemane, a więc zmyślone czyli wssane z pałca plotki o niej. A plotki jak plotki są przeważnie złośliwe i nieczne, bo anonimowe. W plotkach uwieczniamy się i wyżywa cała małość i małostkowość ludzka, wszystko to, co w charakterze ludzkim jest wstydlive i technicznie — dlatego najczęściej wypowiada się pod przykrywką anonimów. Czasem ludźmi przybiera taką postać bezczelności, że występuje i twierdzi, jak ów grecki Meletos. Ale i wtedy nigdy sam

i nigdy na własną odpowiedzialność, tylko zawsze w tłumie sobie podobnych i z poplecniectwa rozmaitych moźnych tego świata. Meletos, jak wiadomo, wystąpił przeciw Sokratesowi z suto płatnego poduszczczenia niejakiego Anytosa, wzbogaconego garbarka ateńskiego, o którym prof. Władysław Witwicki powiada, że w owym czasie właśnie „robił karierę polityczną w Atenach i miał duże powodzenie”.

Dyskutujące anonimowy i Meletos nie znają zazwyczaj sedna rzeczy, nie są zdolne pojąć czegokolwiek dogłębnie i zasadniczo, czepiając się z reguły i najczęściej spraw błałych i szczegółów najmniej ważnych, przypadkowych. A przede wszystkim rzeczową argumentację zastępują nieobliczalną i niewybredną w słownictwie emocją. Zaś do emocji ma prawo jedynie i tylko ten, kto opiera ją na dobrze uzasadnionej argumentacji. Przykład na dyskusję cierpliwego mędrca ze złośliwym głupcem podaje Boy-Zełński w swoim znanym felie-

tonie pt. „Mój wróg z Algieru”. Posłuchajcie: „Każdy ma swoich wrogów, ale zwykle o miedzę. Ja szczerę się tym, że mam wroga w Algierze. Nie wiem, kto on zaczął ani jak się nazywa, poznaje go tylko po znaczku pocztowym. Co jakiś czas otrzymuję z Algieru swój własny artykuł, pozakreślany czerwonym ołówkiem, opatrzonej mniej lub więcej grubiańskimi uwagami”. Na jeden z takich nieprzyzwoitych listów z Algieru, czepiający się mało ważnych szczegółów, Boy odpowiedział: „Niech się pan dobrze zastanowi, co pan czyni. Czterdzieści wieków ludzkiego głupstwa patrzy na pana z pobliskich piramid”. I dodaje: „Otrzymałem na to nowy list, podpisany tym razem „Wróg z Warszawy”. bardzo obelżywy i pouczający mnie, że piramidy egipskie nie są w Algierze”.

Oto przykład na beznadziejną dyskusję z zarozumiałym złośliwym głupcem, który czepia się szczegółów, nie rozumiejąc sedna sprawy czyli



ROMAN ŁOBODA

## PERSPEKTYWA

Jeśli podejść do ciebie  
to tak  
jakbym był w tobie  
jeśli już jestem w tobie  
to tak  
jakbyś już była we mnie  
A jeśli jesteś we mnie  
to

pójdę na sam szczyt kuli  
skąd widać małe domki  
i srebrne nitki  
od płaskiej wody odbiegające  
i czarne lasy na żółtej ziemi  
i chmury i wszystko wszystko  
pod tobą



## OKULARY



Las czerwony  
z cieniem zielonym u podnóża  
wzgórza a na stoku  
sto krów niebieskich uskrzydłych  
do lotu za trawą

W głębi wodna ochłoda  
ocembrowana kamieniem mroku  
szeroki prąd rozdziela  
szarą folię powietrza  
na szklane pomylenie

## PO DŻUMIE

Ulicą sobie idziemy  
kłaniamy się urzędowym  
gmachom

przechodzimy  
on przeze mnie  
ja przez niego  
na latarni wisi  
wczorajszy pijany  
na niebie coś  
w rodzaju żarówki

Wechodzimy na drugą  
stronę  
od prawego łezą  
pierwszą  
Tam ci dwaj

znów jeden przez drugiego  
na pomniku siedzi wrona  
na głowie

Wszystkie przejścia się  
zabliżają  
zresztą jesteśmy znieczuleni

Każdy trzyma  
swoją rękę  
zresztą nie jest pewien  
Marzenie jest  
zamknięte w budce

Ale to wszystko nieważne  
Miasto jest zupełnie puste



Bohdana Majda (Burmistrzanka) i Zbigniew Józefowicz (Student) w „Ptaku” Jerzego Szaniawskiego  
Fot. G. Puciato

ZBIGNIEW NIENACKI

## „Ptak czy nie ptak?”

Wydaje mi się, że oglądając sztukę o Łodzi, a ściślej — o niektórych sprawach naszego życia kulturalnego. Wydaje mi się, że ze sceny w Teatrze Nowym nagle usłyszałem głos w toczącej się u nas dyskusji o polityce kulturalnej i repertuarowej. Jakże miałem nie klaskać, gdy sekretarz magistratu (Bohdan Baer), oświadczył burmistrzowi (Stanisław Lapiński), że chciałby zamiast gęsiniem pisać stalówką, bo na szerokim świecie używa się już nawet maszyn do pisania. Trzeba było widzieć to oburzenie burmistrza, to wspaniałe ośmielenie się żądać wprowadzenia do życia miasteczka czegoś nowego. Czyż nie z takim samym świętym oburzeniem wolała się u nas, gdy niektórzy spróbują zauważyć, że na całym świecie gra się

już nowocześnie i nowoczesne sztuki?

Albo ta odpowiedź na list do rady miejskiej z prośbą o kupno łodzi do przeprowadzenia się przez kałuże na rynek! Grono radnych (Marian Nowicki, Zygmunt Zintel, Ludwik Benoit i Seweryn Butrym), zgodnym chórem wołała: „Niech zdejmie buty i przechodzi przez kałuże”. Czyż nie tak przyjmuje się u nas krytykę w sprawach teatralnych: „Nie podobają się wam teatry, to nie chodźcie do teatru”.

A ów ptak? Ów złotopiór ptak, którego zamierza wypuścić student (Zbigniew Józefowicz), i powoduje deliberacje radnych, „ptak to czy nie ptak?” Bo co ten ptak oznacza, hasło to?, znak?, zawołanie? I ten pełen grozy, wstrętu i strachu okrzyk Lapińskiego: „Panowie, młodzi idą! Nadchodzą, słyszę ich krok, ich tętent!” — jakże przypomina dyskusję z młodymi pisarzami i krytykami! Przypisuje się im, że chcą spalić teatry, że są napastliwi, nietakowni, że pragną wszystko zburzyć. A ci młodzi, naprawdę to oni może chcą tylko złotopiórego ptaka pokazać w tym naszym zadymionym mieście? I dlaczego niby im na to nie pozwolili? Dlaczego zaraz przypisywać im wszystko zło, doszukiwać się najgorszych intencji? Dlaczego próbować ich pomniejszać i lekceważyć. Przecież działają nie tylko w swoim interesie, a w interesie wstępującego w życie pokolenia, które szuka dla siebie swojego własnego wyrazu i kształtu?

To oczywiście zasługa reżysera Konrada Laszewskiego. Z „Ptaka” Jerzego Szaniawskiego uczynił on sztukę współczesną, zdając sobie sprawę, że „Ptak”, którego w Łodzi zagrano w 1925 roku, byłby już dziś nie do przyjęcia. Zastąpiła się w „Ptaku” jego młodopolska poetyka. Uratowało więc sztukę pójście w kierunku groteski, wypunktowanie pewnych aktualnych spraw z naszego życia.

Jak zwykle w Teatrze Nowym aktorstwo było bez zarzutu. Oprócz dużej kreacji Lapińskiego i wymienionych wyżej odwołań rajców miejskich, doskonale mieściła się w koncepcji reżyserskiej Bohdana Majda, w miarę groteskowa, ale i bardzo kobieca. Podobala mi się Barbara Horawianka jako Marysia, Stanisław Skolimowski jako Michalko i Bolesław Bolkowski w roli woznego. Stosunkowo chyba najbardziej dyskusyjna wydawała mi się sylwetka wyidealizowanego odwołacza przez Ignacego Machowskiego. To wspaniały aktor, jednak temu kto widział go w „Sprawie Suchowo-Kobylińskiej”, gdzie wrył się nam w pamięć jako Wążna Osoba, po prostu trudno teraz przyjmować Machowskiego jako innego — łagodnego, sentymentalnego, rzetelnego. Myślę, że bardziej groteskowy mógłby także być Józefowicz.

Przedstawienie jest na pewno udane. Przyjmując je jako głos w toczącej się dyskusji o sprawach kulturalnych naszego miasta, pozwalam sobie wyrazić Teatrowi Nowemu podziękowanie.

„Ptak” J. Szaniawskiego. Państwowy Teatr Nowy. Inscenizacja i reżyseria: Konrad Laszewski, scenografia: Iwona Zaborowska, opr. muzyczna: Tomasz Kiesewetter.

KRYSTYNA  
WOJTASIK

## „VOLPONE”

Bardzo ponura jest ta renesansowa komedia. I wrażenia tego nie potrafią osłabić ani farsowe gierki aktorów, ani zakończenie, w którym, dość zresztą nieoczekiwanie, sprawiedliwości staje się zadość.

Trudno rozstrzygnąć, czy bardziej „zawinił” w tym względzie reżyser, który nie potrafił prawie zupełnie wydobyc z sztuki tkwiącego w niej, mimo wszystko, komizmu (szczęśliwy wyjątek — rola Lady Niewydarzonej w znakomitym wykonaniu Zofii Molickiej), czy autor, który z widoczną satysfakcją i wprost z sadyzmem nurza w błocie swe figury.

Tego błota mamy chwilami nadto, po uszy, i rzecz staje się w pewnych momentach, gdy cuchnie ohydą, nie do zniesienia. Bo autor, Ben Jonson, kazał na oczach widza meżową rafurzyć własną żonę, a ojcu odzierać syna z imienia, czci, dziedzictwa i wolności tylko gwałtownego zaspokojenia żądzy złota. Ona to właśnie, chciwość rozdęta do monstrualnych rozmiarów, jest jedynym motorem działania marionetek Jonsona, jedyną ich cechą ludzką i nieludzką zarazem. Prócz niej, i głupoty, innych nie posiadają. Mają w sobie może jeszcze coś z zaśpiecenia i monomani molierowskiego Harpagona, ale oczywiście, jako twory literackie nie mogą się z nim równać.

A miał Ben Jonson wielkiego rywala, któremu rzeczywiście pragnął dorównać — William Szekspir. Oba deptali ten sam londyński bruk, znali się dobrze i Jonson zazdrościł Szekspierowi dramatycznych sukcesów.

Jedynie godna wielkiego rywala postać w „Volpone” a zarazem jedyny „charakter” tej komedii, to ów arcy-szelma, pasożytem zwany, Mosca, sluga starego lisa Volpone. Nim jednym nie kieruje wyłącznie chciwość, jego żądza złota wypływa z innej — zostania panem całą gębą. I prawie mu się to udaje. To on właśnie, inteligentny i wściekły ambitny parweniuz, za wszelką cenę, nawet zbrodni, dążący ku swemu celowi, nikczemnik, oszust i kłamca, jest wbrew tytułowi, głównym bohaterem komedii Jonsona. Postać Moski decyduje o randze artystycznej sztuki i o tym także zapewne, że dziś jeszcze się ją grywa. Bogusław Sochnacki był bardzo dobrym Moską — inteligentnym, hardym i prawdziwie nikczemnym. Odtworzył swą rolę w sposób konsekwentny, a przy tym lekko, z wdziękiem i z poczuciem humoru — co w wypadku tego spektaklu było bardzo cenne. Godna pochwały jest także rola Włodzimierza Kwaskowskiego. Wydaje mi się jednak, że o dwie role było w tej sztuce za dużo. Do reżysera należało może, poza poczynieniem jeszcze innych skrótów, które przyspieszyłyby bieg akcji, całkowite wyeliminowanie postaci Sir Polityka i Peregrine'a.

Pierwsza z nich jest zapewne karykatura współczesnego Jonsonowi typu Anglika i niewiele nas prawdę mówiąc obchodzi, druga — jest zupełnie bez wyrazu. Razem wnoszą do sztuki rodzaj humoru, który nas, co tu ukrywać, nie bawi, chociaż Bogdan Wróblewski, jak Sir Polityk, naprawdę stara się, aby było inaczej.

Teatr im. J. Jaracza „Volpone” czyli Lis. Ben Jonson; reżyseria i inscenizacja: Marjona Broniewska, scenografia: Andrzej Sadowski, opracowanie muzyczne: Tomasz Kiesewetter.

odgłosy 7

## Aleksander Konicki MUZYKA W LUTYM

estrady. Po dalszych studiach w Paryżu, laureat IV Konkursu Chopinowskiego, był skłonił karierze wirtuozowskiej na estradach całej Europy, jest obecnie Kędra profesorem w sławnej wiedeńskiej Akademii Muzycznej i jednym z najlepszych „ambasadorów muzyki polskiej” za granicą. Kilka słów na temat swej pracy i muzycznego Wiednia wygłosił prof. Kędra przy okazji swego recitalu dla studentów PWSM — odegrał wtedy wszystkie trzy sonaty Chopina.

Przechodząc do pozostałych lutowych koncertów symfonicznych Filharmonii Łódzkiej — zwróćmy uwagę na pierwszy chronologicznie, poświęcony w całości muzyce operowej. Solistą jego był tenor Paulos Răpăşiu w rolach „Zydówki”, „Napój miłosnego”, „Fausta”, a dyrygował prof. Tomasz Kiesewetter, który między innymi zaprezentował nam fragment z własnego dorobku twórczego — obraz z baletu „Królewski błazen”.

Zygmunt Gzella, młody dyrygent (zresztą wychowanek łódzkiej uczelni), podjął odpowiedzialne zadanie poprowadzenia Symfonii VI „Pastoralnej” Beethovena. Uznaniem należy się też Gzelli za udany akompaniament do trudnego rytmicznie Koncertu fortepianowego Ravela. Niestety, wysiłek dyrygenta nie wystarczy, jeśli nie sekunduje mu każdy z członków orkiestry.

Z drukowanego programu (pióra Janusza Cegielly) dowiadujemy się, że polskie prawykonanie Koncertu G-dur Ravela odbyło się w Warszawie przy okazji II Konkursu Chopinowskiego, przy czym dyrygował nim sam kompozytor, a grala Marguerite Long (której dzieło jest dedykowane). Ale później wybuchła wojna i dopiero w roku 1947 właśnie Maria Wilkomirska zapoczątkowała estradową popularność tego Koncertu w Polsce. To drugie niejako krajowe prawykonanie odbyło się właśnie w sali łódzkiej Filharmonii.

Mieliśmy w tym miesiącu okazję posłuchać dość sporą — jak na łódzkie stosunki — ilość muzyki poważnej a nie symfonicznej. Odbyły się trzy recitale fortepianowe, i koncert kameralny, organizowany, jak zawsze, przez oddział Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Gościliśmy tym razem dwóch muzyków z Warszawy — Ludwika Kurkiewicza, klarne-cistę, profesora stołecznej WSM, oraz M. Dąbrowskiego, pianistę — którzy prócz utworów klasycznych wykonali polskich kompozytorów współczesnych: Tadeusza Paciorek-wicza (do niedawna związanego z Łodzią) — 4 Kaprysy i Antoniego Szalowskiego — sonatę. W drugiej części koncertu usłyszeliśmy piękną sonatę na skrzypce i fortepian d-moll Szymanowskiego. Świetnie jej wykonał zadowolony Zenonowi Hodorowi i Kiejsłutowi Bacewiczowi. Prof. Bacewicz, rektor łódzkiej Wyższej Szkoły Muzycznej, jest jednym z najbardziej cenionych pianistów — kameralistów polskich.

Dwa z wymienionych na początku recitali odbyły się staraniem Łódzkiego Towarzystwa Muzyycznego. W zasadzie takie imprezy planowane są raz w miesiącu, luty okazał się jednak wyjątkiem i przyniósł występy dwóch pianistów — Walentego Parczewskiego i Zbigniewa Lasockiego.

Walenty Parczewski przedstawił dość licznie zgromadzonej w auli PWSM publiczności program obszerny i zróżnicowany. Artysta zwrócił uwagę przede wszystkim wykonaniem potężnego cyklu wariacji fortepianowych Schumanna, tzw. „Eliud symfonicznych” i dwoma preludiami Rachmaninowa.

Zbigniew Lasocki wystąpił z recitalem, którego połowa poświęcona była Chopinowi. Wydaje się jednak, że bardziej odpowiadały mu wewnętrznie utwory nowo-

czesne, jak suita „Pour le piano” Debussy'ego, Szymanowskiego „Serenada Don Juana” („cykl „Maski”) oraz dwie pozycje Prokofiewa. Nie pierwszy raz muszę podkreślić, że tak cenne imprezy, stanowiące ważne przeciwwagę dla symfonicznych koncertów Filharmonii, cierpią chronicznie na brak dostatecznej popularności. Nie ulega wątpliwości, że do wielu potencjalnie zainteresowanych osób nie dociera wiadomość o mającym się odbyć recitalu. Afisze LTM, pisane ręcznie na drukowanych formularzach, widać się właściwie jedynie w szkołach muzycznych. (SPAM wywiesza swoje przynajmniej w foyer Filharmonii i w witrynie sklepu muzycznego). Apeluję więc o jakąś drobną subwencję na cele propagandowe dla Łódzkiego Towarzystwa Muzyycznego! Nie możemy pozwalać sobie na to, by wiele wartościowych audycji przechodziło niepostrzeżenie. Zbyt skromne jest życie muzyczne naszego miasta. Czy prasa codzienna nie mogłaby służyć większą pomocą w tym względzie?

Przechodząc do spraw Filharmonii — wyrażmy słowo uznania dyrekcji za maksymalne wykorzystanie pobytu w Łodzi wirtuozów tej miary,

jakim jest Władysław Kędra. W jego interpretacji mogliśmy słuchać aż czterech pozycji na fortepian z orkiestrą w ciągu dwóch koncertów symfonicznych. Znakomitemu, jak zawsze, technicznie wykonaniu towarzyszyło dalsze pogłębienie wyrazu, szczególnie w Koncercie A-dur Liszta. Pianista odegrał obydwa koncerty Liszta jednego wieczora, co stanowi niewątpliwie tour de force. Władysław Kędra jest chyba w Polsce najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie odwrotności utworów Liszta. Oceniono to także za granicą, zapraszając go do jury Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Liszta i Bartoka.

Klasą dla siebie był również Kędra w utworach Gershwin — popularnej „Błękitnej rapsodii” i rzadziej grywanym, choć może ciekawszym koncercie fortepianowym F-dur.

Na pierwszym od paru lat występie Władysława Kędry byliśmy świadkami wręcz artystycznie Honorowej Odznaki m. Łodzi. Z naszym miastem związany jest on bardzo ściśle — miejscem urodzenia, studiami w przedwojennym Konserwatorium Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej, pierwszymi występami z orkiestrą na tej samej



# DOM KULTURY: dzielnicowy czy peryferyjny?

Śliski to temat: kultura masowa. Jeśli mam być szczerzy, to pracując w tej dziedzinie spotykałem nader często niepoehlebne zdania o tym rodzaju działalności. Mówiono: jest to praca dla tego, kto ją wymyślił; co takiego jak Dom Kultury może być tylko zjawiskiem chwilowym — przedzie lub później okaże się społeczna nieprzydatność tych instytucji; tak zwana działalność kulturalno-oświatowa daje tylko namiastki kultury.

Ufamiam, że generalnie zarzuty pozostawiając bez odpowiedzi. Zamiarem moim jest podzielenie się uwagami o sytuacji Domu Kultury-Bałuty przy ul. Zgierskiej 71, którym kierowałem w latach 1959—1960, póki nie sprzykrzyłem się władzom dzielnicowym, a władze dzielnicowe — mnie.

Przed wszystkim dziwny to był Dom. Nazwano go Dzielnicowym, utworzono jednak — w miejscu przy najmniej, gdzie powstał — wbrew stanowisku Prezydium DRN Bałuty, a na skutek presji Wydziału Kultury. Powiadano, że ówczesny Wydział Kultury pragnął usprawnić się z raptownej likwidacji świetlic łódzkich w latach 1956—1958, toteż na siłę stworzył placówkę, którą nazwał dzielnicową. Przez siłę też oddano ją pod opiekę LDK.

Dom Kultury otwarto w zniszczonym pałacu pofabrykanckim, który wymagał kapitalnego remontu kosztem ponad pół miliona złotych, lecz LDK nie otrzymał na to środków, a DRN nie mogła podjąć się inwestycji, ponieważ nie uporzędkowano spraw własnościowych posesji (należała ona formalnie do sąsiedniej fabryki mebli). Budynek był nienależycie podłączony do sieci świetlnej (poprzez fabrykę), nie korzystał z miejskiej sieci wodociągowej, miał tylko lokalne centralne ogrzewanie. Najpierw zimą, a potem także latem zachodziły nieustanne awarie; przeciekały przewody, pękł kocioł centralnego ogrzewania, zepsuła się studnia, z której czerpalismy wodę do zbiornika, musieliśmy zamykać ubikację (!); doszło do tego, że zbiornik wodny napelniała nam z hydrantu węzeł gumowym fabryczna straż pożarna — dwa razy w tygodniu. Po oczyszczeniu zbiornika jego zawartość przelewała się wreszcie ze strychu przez sufit na schody na korytarzu. Przyszliśmy do pracy spostrzegłem wtedy, że na korytarzu pada jak w czasie ulewnej deszczu. W końcu LDK z ulgą oddał tak działającą instytucję w gestię Referatu Kultury DRN Bałuty. Przyszliśmy wtedy do pracy w bibliotece, dość bowiem miałem stanowisk kierowniczych w tak organizowanych placówkach. Nasz tępny kierownik DK-Bałuty zezwolił na pracę jeszcze szybciej niż ja — bo po roku.

Słyszałem, że Dom Kultury Bałuty narzeka na zbyt niski budżet. Utrzymuje się, że ma on zbyt małe środki na działalność merytoryczną (budżet DK stałe nie przekracza 300 tysięcy złotych). Może występuję z herezją, wyświadczać najgorszą przysługę tego rodzaju placówkom, lecz chciałbym zapytać: po co w tych warunkach więcej pieniędzy (żąda się podobno 700 tysięcy)?

DRN Bałuty miała ambicję zbudowania na swoim terenie nowoczesnego Domu Kultury, dlatego powstanie filii LDK powitała jako dywersję. LDK nie stać było natomiast na przeprowadzenie kapitalnego remontu budynku. Odpowiedzialność za stan posesji milcząco przeznaczyła na siebie władze miejskie i dzielnicowe, a jeśli znalazł się pod ręką kierownik Domu, reprezentanci tych władz tworzyli wspólny front, żeby zmyć mu głowę za brak dbałości o placówkę. Wszystko zaś było wynikiem otwarcia Domu Kultury wbrew stanowisku DRN, bez uprzedniego uprzedkowania spraw własnościowych i bez przeprowadzenia kapitalnego remontu, a także skutkiem przerzucenia całego ciężaru borykania się z trudnościami bytowymi filii na Łódzki Dom Kultury, przed czym dyrekcja też się bronila. W dodatku nazwa Dzielnicowy Dom Kultury jest fikcją. Jest on źle usytuowany w miejscu, które omija budownictwo komunalne, nie posiada odpowiedniej sali widowiskowej, ma zły rozkład pomieszczeń i w ogóle jest szczypliwy. Słowem, jego możliwości rozwojowe są bardzo ograniczone.

Wypowiedź moja jest daleka od sugestii, żeby te placówki zlikwidować. Chciałem tylko zwrócić uwagę na niewspółmierność warunków bytowych peryferyjnych Domów Kultury i tego, czego się od nich oczekuje. Zważmy, że dzielnice łódzkie liczą po 100 do 170 tysięcy mieszkańców, ambicją zatem władz dzielnicowych jest posiadanie dużych, operatywnych Domów Kultury z nowoczesną salą teatralną i licznym, fachowym personelem. Najchętniej budowałyby one takie Domy itd. kosztem kilku milionów złotych. Tymczasem otrzymują pofabrykanckie pałacyki, a nie każdy z nich pozwala na to, żeby można było liczyć, że obejmą one swoją działalnością całą dzielnicę. Czy nie jest to powodem zbyt licznych nieporozumień?

Niechże powstają Domy Kultury na peryferiach, nie nazywajmy ich jednak dzielnicowymi, bo tych funkcji nie pełnią. (Subiektywizm mojej wypowiedzi niechaj nie przesłoni tej myśli, że Dzielnicowy Dom Kultury, aby mógł być nim naprawdę, powinien być lokalizowany sensowniej i musi mieć liczbę pracowników i pomieszczeń w pewien sposób proporcjonalną do obszaru i ludności swej dzielnicy; te placówki natomiast, które istnieją obecnie na peryferiach, są właściwie tylko większymi klubami, oddziałującymi na tzw. dzielnicę naturalną albo podstawową, ale nigdy nie obejmą wpływu całej dzielnicy administracyjnej). I najpierw ustalmy realnie, jak wielki może być zakres ich działalności, a potem dopiero gospodarujmy funduszami. Bo wydaje mi się, że oszczędna i celowa działalność jest w tym wypadku bardziej na miejscu niż żądanie pieniędzy na rozproszone wysiłki, jeśli nie mają one zaciepienia w zbyt rozległym środowisku.

Dalszy  
ciąg  
ze str. 1

Stropy budynku są maksymalnie obciążone. Uginają się niemal pod każdym krokiem. Podobnie rzecz się miała zresztą z salą projekcyjną, w której odbywały się także jeszcze do niedawna słynne bale. Dyrektor administracyjny z pewnym przerażeniem stwierdził w czasie jednego z nich, że podczas tańca uginają się stropy. Architekt, który następnego dnia wymierzył maksymalne obciążenie na 1 m<sup>2</sup> stwierdził, że na sali może siedzieć spokojnie maksymalnie 100 osób. Tyle znajduje się tam miejsc w czasie projekcji. Dyrekcja Szkoły postanowiła wtedy urządzić klub w „czworakach”. Mieści się on na parterze. Miejsmy nadzieję, że nie się nie zawali.

Najbardziej ze wszystkich budynków na terenie Szkoły interesujące są owe komórki. Mieszczą się tam warsztaty i pracownie. Byłm nieco zaskoczona. Bo w tym nietypowym pomieszczeniu nie nadającym się do ćwiczeń, w których bierze udział więcej niż 3 osoby, zorganizowano montażownię (albo raczej postawiono tam stoły montażowe). Jest ich w chwili w Szkołę 4. Przypomnijmy liczbę studentów. Blisko 40 na I a kilkunastu na II roku. Jak odbywają się wobec tego ćwiczenia? A Szkoła powinna dysponować 6 stolami do ćwiczeń z montażu i 5 stolami do szkolnej produkcji. Tylko, że niestety nie ma ich gdzie ustawić. Spróbowano sytuację jakoś rozładować. Oddano więc jedną z sal wykładowych. Montażownia jest niezbędna. Ale wciąż jest ciasno!

A w podobnych warunkach znajdują się w Szkole wszystkie pracownie. Filmów animowanych i trickowych, pracowni filmów mikro-makro (zdjęcia specjalne), elektrograficzne i pracowni fotograficzne. Szkolne laboratorium mieści się w piwnicach. Piwnica jak wiele piwnic. Strome, drewniane schody, okropna wilgoć, brak wentylacji. A studenci pracują w niej po parę godzin. Szkolne atelier fotograficzne raz służy do ćwiczeń operatorskich, raz pełni funkcję hali zdjęciowej. Na około 60 m<sup>2</sup> powierzchni część jej zabudowana jest zresztą dekoracjami. A każdy student powinien mieć minimum na swoje stanowisko 10 m<sup>2</sup>. Obciążenia są proste. Na ile grup trzeba wobec tego dzielić studentów? Jak musi wyglądać siatka godzin, która jest sztucznie rozciągnięta także i dzięki temu, że trzeba w nią wliczyć czas na przejazdy tramwajem, choćby na Marysin. Tam znajduje się hala zdjęciowa. Bo Szkoła od paru lat dzierżawi część budynku parafii maryjskiej. Miesięczna dzierżawa jest dość wysoka. Niemalże też wynosi wkład pieniężny, jaki włożyła Szkoła w adaptację budynku. Najprawdopodobniej można by już było za te pieniądze wybudować własną halę zdjęciową. No, ale Szkoła ciągle miała być przeniesiona do Warszawy. Zresztą hala na Marysinie nie wystarcza. Jak poinformował mnie kierownik produkcji, p. Brejtkopf, potrzebna jest jeszcze jedna hala o powierzchni 300 m<sup>2</sup>, albo dwie po 150 m<sup>2</sup>. Hala maryjska ma zresztą szereg mankamentów. Warsztaty i pracownie znajdują się na Targowej. Obliczmy ile czasu i pieniędzy kosztują transporty potrzebnych dekoracji? Dzierżawa budynku już zresztą wygasa. Kto wie czy będzie odnowiona? Co będzie, gdy parafia maryjska odmówi dzierżawy? A Szkoła produkuje 6 do 10 filmów rocznie. Studenci Szkoły Filmowej mają czas wypełniony od rana do wieczora. Średnia liczba godzin tygodniowo wynosi około czterdziestu. Stu-



Aparatura sensymetryczna nie jest zbyt wysoka. W tym pomieszczeniu sięga jednak, aż do sufitu. Ta miła Angielka studiująca w Szkole Filmowej dziwi się bardzo tak prymitywnemu pomieszczeniu na tak drogi sprzęt.

Fot. E. Kuda

dent I roku, którego zapytałem o to, czy w ciągu dnia może iść do domu w czasie przerwy w zajęciach, powiedział mi, że nie odpoczął, odpowiedział — nie. Dom Studentki jest zbyt daleko.

Studenci Szkoły Filmowej nie mają własnego domu żadnego z trzech wyższych uczelni artystycznych, jakie są w Łodzi. Część studentów mieszka na Bystrzyckiej, część w dwu adaptowanych czynszówkach. Co roku więc dyrekcja Szkoły ma nęmały kłopot z miejscami w domu akademickim. Domy są zatłoczone. Nie ma w nich ani świetlic, ani czy-

## TEKSTY ADAPTOWANE

W tegorocznym pierwszym numerze naszego tygodnika zamieściliśmy próbkę tekstów adaptowanych w jęz. angielskim i niemieckim. Próba wprowadzenia tego rodzaju kącika językowego spotkała się z żywym zainteresowaniem Czytelników i prasy (vide artykuł Wacława Urbanskiego w „Głosie Robotniczym” z 26 lutego br.).

Z dniem dzisiejszym wprowadzamy więc stały kącik językowy i jednocześnie przypominamy w skrócie, na czym polega zasada tekstów adaptowanych i jak należy korzystać z tekstów. Badania naukowe wykazały, że dla czynnego opanowania języka obcego nie potrzeba przyswajania sobie całego i ogromnego zasobu struktur oraz słownictwa danego języka, lecz jedynie zasadniczą jego część, mianowicie tę, która wykazuje najwyższą częstotliwość. Liczba tego słownictwa jest zaskakująco niska, zawiera bowiem tylko około jednego tysiąca słów, którymi można wyrazić ponad 1400 pojęć zależnie od kontekstu.

Obliczenia te wykorzystano w nauczaniu języków obcych (The New Method) przez wprowadzenie adaptacji. Polega ona na dostosowaniu oryginalnej lektury do określonego zakresu strukturalnego i wyrazów najwyższej częstotliwości.

W naszym kąciku zamieszczamy będziemy teksty w zakresie trzech stopni. Liczba słowni-

ctwa przypadająca na jeden stopień wynosić będzie od 300 do 500 wyselekcjonowanych wyrazów.

Czytelnik przyswaja sobie czynnie podstawowe struktury językowe z określonym zasobem wyrazów poprzez liczne czytanie tekstów adaptowanych. Zbieg ten w nowoczesnym procesie nauczania nazywamy „bombardowaniem”. Przy czytaniu należy ograniczyć do minimum, bądź całkowicie wyeliminować rolę języka ojczystego jako języka — pośrednika.

Po starannym przeczytaniu 700 do 800 słów tekstów adaptowanych czytelnik opanowuje czynnie związki wyrazowe o najwyższej częstotliwości bez specjalnego nakładu pracy, co jest cenną zaletą tej metody.

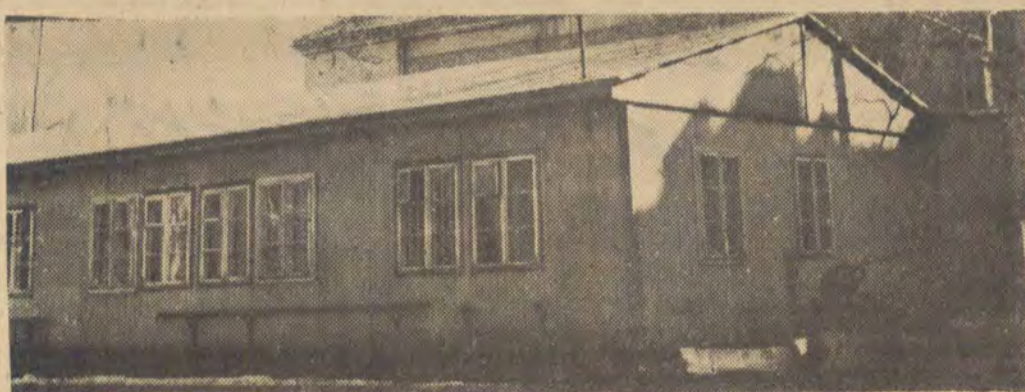
Teksty przeznaczone są do samodzielnego, najlepiej głośnego czytania, przy czym zaleca się przeprowadzać ustną streszczenia i rozmowy na temat przeczytanego tekstu przy każdej sposobności z osobą, która dany język zna.

Czytelników, którzy zapytywali o teksty adaptowane w języku rosyjskim, informujemy, że myślimy o rozwiązaniu i tej sprawy.

Jednocześnie prosimy zainteresowanych Czytelników o dzielenie się nadal swoimi uwagami odnośnie nowego kącika.

REDAKCJA

## Bijemy na alarm!



Barak — w wilgotnym pomieszczeniu przez osiem, a nawet więcej godzin muszą przebywać pracownicy administracyjni uczelni.

Fot. E. Kuda

telni, ani nawet pokoju przyjąć. Nie bardzo więc jest gdzie się uczyć, czy odpoczywać w czasie dnia. A 10 proc. studentów Szkoły Filmowej to obcokrajowcy.

Opowiadano mi, że w tym roku zdarzył się znamieny wypadek. Do łódzkiej Szkoły przyjechał wraz z rodzicami młody Szwed. Rodzice byli przerażeni warunkami, w jakich mieszkają studenci. Oczywiście adept sztuki filmowej wrócił do ojczyzny. A przecież można by było pomyśleć o urządzeniu jakiegoś przyzwoitego domu dla studentów szkół artystycznych. Domu odpowiednio przygotowanego i wyposażonego. Tym więcej, że liczba studentów — obcokrajowców ciągle rośnie. I Szkoła Filmowa cieszy się za granicą zasłużoną sławą. Ciągłe napływają listy z prośbą o przyjęcie. Ale Szkoła w większości wypadków musi odmawiać. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaproponowało na rok przyszły 20 miejsc. Szkoła musiała połowę kandydatów odrzucić. A studenci — obcokrajowcy placą dolarami. To są dewizy. Nie było co dla państwowej kasy.

Ale jak w obecnych warunkach Szkoła może sprostać wszystkim zadaniom, które powinna spełniać? W Szkole istnieje jeszcze przecież 2-letnie studium dla organizatorów produkcji filmowej, a od października powstanie studium dla pracowników telewizji i jednoroczne studium

filmowe dla pracowników naukowych AM.

„Telewizja — mówi prorektor Szkoły prof. Wajdowicz — ciągle czeka na absolwentów. To worek bez dna”. Szkoła jest jednak bezradna. Po prostu nie ma na to wszystkich miejsc.

Dziś jednak Szkoła Filmowa znalazła się w tak krytycznej sytuacji? Kto odpowiada za istniejący stan rzeczy? Kogo należy obwiniać?

Winnych, niestety, nie ma. Szkoła miała być przeniesiona do Warszawy. Czekało na ostateczną decyzję. Wobec tego w planach perspektywicznych w 1956 roku nie przewidziano ani rozbudowy pałacyku ani też nie ustalono planu zbudowania nowego obiektu. Ponadto, mimo, że bez wątpienia Szkoła Filmowa jest placówką w Polsce konieczną z wielu względów, przeciwnicy istniejącej instytucji z Fordem i Kawalerowiczem na czele wciąż walczą o jej zlikwidowanie. Mniej więcej co roku przez grudzień i styczeń waga się decyzje. W końcu czerwca Ministerstwo zawiadamia o przewidzianym limicie studentów. I życie kuchni filmowej toczy się dalej. Przez 2 miesiące w roku pracownicy Szkoły dosłownie siedzą na walizkach. Ten trwający latami stan niepewności nie wpływał po myślnie na rozwój Szkoły. Teraz jednak, kiedy decyzja jej pozostawienia zapadła,

stan ten musi ulec zmianie.

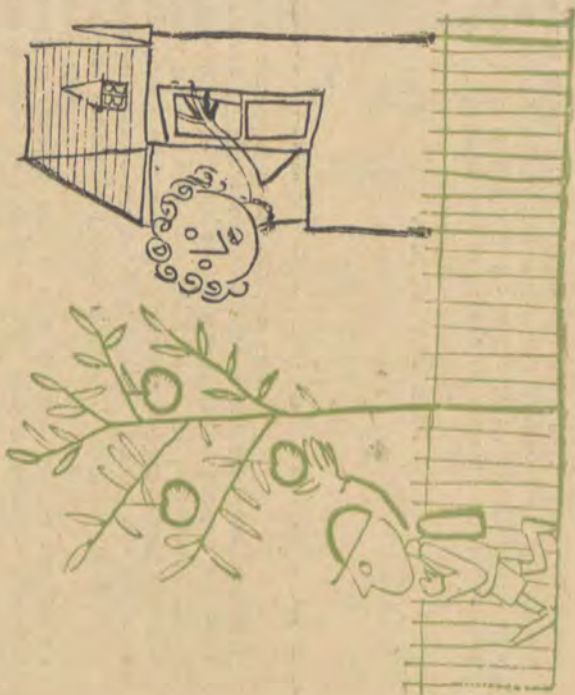
Prorektor Wajdowicz pokazał mi pismo, które Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prez. RN wysłał do Szkoły. Pismo zawierało o decyzji do budowania skrzydła do pałacyku. Skrzydło to rozładowałoby dotychczasową ciasnotę, aż do momentu, gdy zaplanowany na „szkolny obiekt” nie zostanie oddany do użytku. Jednak skrzydło najwcześniej będzie zbudowane za dwa lata. „Na piętnastoletnie” — powiedział prorektor. Ale to zbyt długi termin. Szkoła Filmowej trzeba pomóc natychmiast! Muszą znaleźć się środki i sposoby, którymi by rozładowano obecną sytuację. Może by należało oddać na dwa lata Szkołę jakiś inny obiekt? A może udałoby się przenieść do innego gmachu Szkołę Muzyczną? Pałac Poznańskich należałby w całości do PWSTiF. Za tym rozwiązaniem przemawia fakt, że „kombinat muzyczny” zostanie zbudowany najprawdopodobniej szybciej niż budynek Szkoły Filmowej. Trzeba tę sprawę rozsądnie rozważyć. Bijemy na alarm! Szkoła Filmowa nie może w tych warunkach pracować. To przecież skandal, by uczelnia o europejskiej renomie znajdowała się w tak opłakanych warunkach lokalowych. Najwyższy czas, by po 13 latach sytuacja uległa zmianie.

EWA SULIBORSKA



THREE APPLES  
by D. J. May

It is Monday. It is seven o'clock. Andy is going to school. He is looking at a tree in Mr. June's garden. There are three



## DIE AFFEN UND... ICH

Ich fuhr einmal nach Afrika. Auf meinen Rücken trug ich einen Korb voll Hüte. Ich wollte sie in der Stadt verkaufen. Der Weg war weit. Es war sehr heiß. Ich ging aber weiter, denn ich wollte vor dem Abend in der Stadt sein. Gegen Mittag kam ich in einen Wald. Ich war sehr müde und stellte den Korb ins Gras unter einem Baum. Hier wollte ich etwas ausruhen. Aber die Sonne schien auf meinen Kopf. Ich nahm einen Hut aus dem Korb und setzte ihn auf meinen Kopf. Jetzt war es sehr gut. Nun konnte ich ausruhen. Bald schlief ich ein. Ich schlief ziemlich lange.

Nach einiger Zeit wachte ich auf. Ich war erschrocken. War es nicht schon zu spät? Ich stand schnell auf, wollte den Korb mit den Hüten nehmen, aber... der Korb war leer. Wo waren die Hüte? Ich suchte sie, aber ich konnte sie nicht finden. Was werde ich jetzt tun? Die Hüte kosteten viel Geld.

Ich schaute nach oben. Ich sah auf dem Baum einen Affen mit einem Hut auf seinem Kopf. Neben dem Affen sah ich noch einen, zwei, drei, vier, fünf, viele Affen und alle hatten Hüte auf ihren Köpfen. Das waren meine Hüte. — Gebt mir meine Hüte zurück! Gebt mir meine Hüte zurück!

Aber die Affen sprangen lustig auf den Bäumen und hörten nicht auf mich. Ich wurde sehr böse. Ich sammelte Steine und warf sie nach den Affen. Die Affen sahen das. Sie pflückten die Ananas und warfen sie nach mir. Ich lachte herzlich und nahm den Hut vom Kopf. Ich warf ihn ins Gras. Die Affen sahen das und warfen die Hüte nach unten.

## HE WANTED TO BE COMFORTABLE

It was Sunday. The trains were overcrowded. A man was looking for a seat in a carriage. Suddenly he saw a vacant seat. A small bag lay on that seat and a well-dressed man was sitting beside it.

— Is this seat vacant? — asked the man.  
— No, it is not, — was the answer. — It is occupied by my friend, he will soon come. He has gone to buy cigarettes.

The first man said:  
— Well, I'll sit here till he comes.

Ten minutes passed.  
— Your friend will miss the train.

— Yes, — nervously replied the other.  
The train started but nobody came.

— Your friend is late, — said the man, and with these words he took the bag and threw it out of the window.

The well-dressed man tried to catch the bag but it was too late.

It was his own bag and he had occupied the second seat because he wanted to be comfortable.



— Wo ist mein Pass? Habe ich ihn verloren? — dachte er.  
— Was werde ich ohne Pass tun?

Traurig ging Doré zum Bürgermeister und sagte:  
Herr Bürgermeister, ich bin Gustave Doré. Ich habe meinen Pass verloren. Bitte, geben Sie mir einen neuen Pass.

Der Bürgermeister sah den Herrn an und sagte ruhig:



TADEUSZ PAPIE

## MAGDALENA

Siedemnastoletnia dziewczyna: Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodzieży”. Po pierwszych „występach” i kradzieży wełny — trójka bohaterów: Magda, Mariola i Boruta jadą „na wypoczynek” do Zakopanego. W Zakopanem przyłącza się do nich „Krycha”.

Wróciliśmy do Łodzi we czworo. Przenocowaliśmy się u Marioli. Boruta powiedział, że pójdzie załatwić sprawę z Czeskim. Nie wiem, w jaki sposób doszedł z nim do porozumienia. Być może, że stało się to dzięki pośrednictwu Długiego i Narcyza. Boruta musiał im naobiecować złote góry. Albo też zaplanowali wspólnie nowy skok i przyrzekli Czeskowi największy udział. Bardzo prawdopodobne, że tak było.

Wieczorem tego samego dnia przyszedł do Marioli Boruta i Narcyz. Krycha od razu zarzuciła sieć na niego. Szalała z zachwytem. „Fajny kumpel” — mówiła. Bardzo jej się Narcyz podobał. Powiedziała mi, że woli Nar-

cyza niż Borutę. „Czy przypuszczałaś choć przez chwilę, że mi chodzi o Borutę?” — powiedziała do mnie Krycha. — Nic podobnego! Miałam go raz w Zakopanem i to mi wystarczy. Nie lubię chwalipiętów. Ochi! Każdy byle nie Boruta. Do diabła z Borutą!

Poszliśmy w piątkę do Cyganerii i usiedliśmy przy naszym stoliku. Kawiarnia była prawie pusta, jeśli nie liczyć paru typków, którzy przyszl tu w pojedynkę i spoglądali ukradkiem na mnie albo na Krychę. Bawiliśmy się trochę, odwzajemniając im spojrzenia, ale Mariola była bardziej rzeczowa. Nie chciała sobie nikim zawracać głowy, z kim by rzeczywiście nie mogła pójść na kolację lub do domu. Z głośnika umieszczonego nad drzwiami dochodziła muzyka, ale grali do chrzanu, jakieś pitolenie na skrzypcach i wolonczeli, więc Boruta wstał i przekreślił galkę. Jakiś stary przyk siedzący z utlenioną babką, mruknął na niego gniewnie, ale Boruta nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Miał sobie kłm zawracać głowę!

Śmieszny typl! Za to blondyna z zainteresowaniem obejrzała sobie Borutę. Zaczęła zaraz opowiadać coś swojemu towarzysowi i śmiała się jak idiotka. Boruta przyrzekał się jej uważnie, z zimną krwią. A Narcyz bezczelnie zrobił do niej oko. Stary przyk wstał purpurowy i zmusił babkę do opuszczenia kawiarni. Widziałam, że ustąpiła niechętnie. Była wyraźnie zła na swojego bubka.

Boruta położył na stoliku zegarek. Był to ten sam, który zabrałam Tacie. „Rozumiecie, co to znaczy?” Mariola zagryzła swoje wargi. „Zrobicie to jeszcze raz i to dzisiaj”. „Tato nie zawsze chodzi pijany” — przerwała mu Mariola. „O, wa! Niech cię głowa o to nie boli. Jużemy to rano z Narcyzem omówić. Tato w tej chwili leży nieprzytomny u Pumpy”. Nazwisko Pumpy już mi się obito o uszy. To stara wiedza, do której chodził Tato, i która prowadziła podejrzanym interes. Dom schadzek czy coś takiego. Mówiła mi o tym Mariola. „Jeżeli tak?” — rzekła Mariola. — „Oczywiście” — potwierdził Nar-

cyz. — Ta stara krowa nie puścił go tak łatwo”. „A więc dobrze — powiedziała Mariola. — My z Magdą pójdziemy do domu, a wy stancie sobie na podwórzu i czekajcie”.

Szalenie nie chciało mi się ruszać z kawiarni. Ale Krycha zapaliła się do tej sprawy. Narcyz też bardzo naglił. Nie chciałam się z nimi spierać. Zresztą, na nic by się to nie zdało. Co znaczył mój głos? „Dobra!” — powiedziałam. Nagle przypomniałam sobie, że Tato ma w szafie fajne futro. Zdażyłam je obejrzeć podczas pierwszej wizyty. „Ej, słuchajcie! Tato ma futro. Prawda, Mariola?” Mariola roześmiała się, aż jej wszystkie zęby błysnęły. „O co chodzi?” — zapytała. — „Futro też nam się przyda”. Narcyz z niedowierzaniem obejrzał mnie od stóp do głów: „Wy-rabia się nasza mała”. „Owszem” — potwierdził obojętnie Boruta. — „Przejdźcie jeszcze parę ćwiczeń i będzie niczego babka”. „Odstąp mi ją, Boruta” — rzekł Narcyz. Popatrzyłam na niego jak na wariata, a Krycha dała mu porządnego pryttyczka w nos. „Nie po to przyjechałam do Łodzi — powiedziała — że bym się dała kiwać byle komu. Co to, to nie”. „Uspokójcie się” — zakończył tę rozmowę Boruta. „Na wszystko przyjdzie czas. Od tego są dziwki, żeby należały do chłopów”.

Wyszliśmy najpierw z Mariolą. Dopiero w parę minut po nas mieli wyjść Boruta, Narcyz i Krycha. Nie mogąc powiedzieć, żeby była spokojna. Byłam cholernie zdenerwowana. Mówię panu, drżałam jak osika. Co innego zabrać coś mimochodem, jak wtedy, kiedy by-

liśmy po raz pierwszy u Taty, a co innego jak teraz. „Ej, Mariola, a jak wpadnie?” — Może Tato jest w domu?” Mariola obejrzała się na mnie, popatrzyła jak na wariata. „O co ci idzie?” — zapytała. — „Idiotkę strugam z siebie, czy jak? Tato jest u Pumpy, a gdyby nawet przyszedł. To co? Tato się ucieszy nami”. „Ale mogą nas zobaczyć sąsiedzi”. „Puknij się w czoło. Tato mi pozwolił przychodzić do siebie, kiedy tylko zechcę”. Jednakże Mariola mnie nie uspokoiła. Przecież ukradliśmy Tacie zegarek i forszę. Po raz pierwszy odczułam coś w rodzaju skruchy. Ma pan słusność, to nie była skrucha. Bałam się i koniec. Przypomniała mi się gęba Taty i jego uśmiech. Ciekawam, jaką miałby minę, gdyby mnie schwycił za rękę.

Klucz do mieszkania był na swoim miejscu. To nam dodało otuchy. Tato albo nie zauważył jeszcze kradzieży, albo może myślał, że zgubił pieniądze. Mariola przekreśliła zamek. Weszliśmy do ciemnego przedpokoju. Nie zapalałyśmy światła, Mariola znalazła rozkład mieszkania. Otworzyliśmy szafę. Mariola zgarnęła parę prześcieradeł i posze-wek, zdjęła z wieszaka spodnie i związała wszystko sznurkiem. Wtedy to zaskrzypały drzwi i ktoś krzyknął: „Jest tam pan, panie M?” Struchlałam, ale Mariola śmiało odparła: „Nie ma. Ja tu jestem”. „He! Co za ja!” — Zeby pan słyszał ten głos! Obrzydliwy, jak cholera. Mariola jeszcze powiedziała: „O co chodzi?” Ale ten typ zachichotał i zatrzasnął drzwi. „Bydło!” — szepnęła Mariola. „To ten sąsiad, który zawsze mnie zaczepia na schodach. Ze też musiał się napatoczyć”. Otworzyła okno,

cicho gwizdnęła i rzuciła na dół pakunek. „Futro!” — usłyszała szept Boruty. „Wiedziecie stąd”. Nie trzeba było im dwa razy powtarzać.

„Co teraz będzie?” — zapytałam Mariolę. Drżałam jak w febrze. „Masz jakiś dowód?” — rzuciła szeptem Mariola. „Tak, legitymację szkolną”. „A ja nie. Nawet biletu tramwajowego. Niech to diabli! Skonać można. Ale nie. Nie z takich sytuacji się wyplątywało”. Zapaliła światło, usiadła na krześle, wzięła ode mnie papierosa i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym aż pod sufit. Jęzeli mam być zupełnie szczerą, to czułam dla nie ogromną wdzięczność. Jej spokój podziałał na mnie. „Może zapalisz?” — zapytała. „Nie, dziękuję”. „Cholera z tym sąsiadem. Ale ja mu jeszcze zagram na nerwach” — pogroziła. „Powiesz chłopakom?” „Nie, ja sama to załatwię. On mi jeszcze będzie w zębach buty nosił. To pies parszewy”. „Czy on cię naprawdę zaczepiał?” Wprawiłam ją tym pytaniem w prawdziwy szal. „Raz kięknął przede mną na schodach i pocałował mnie w nogę. Skamlał: „chodź do mnie, przyjdź do mnie”. A ja się śmiałam. Zanosilał się wprost od śmiechu. Bez błagi, naplułam mu w twarz. Wstrętne bydlę. Wolalabym psa niż jego. Szczur!” Spojrzałam na Mariolę innymi

Dalszy ciąg na str. 10

odpłosu

str 9



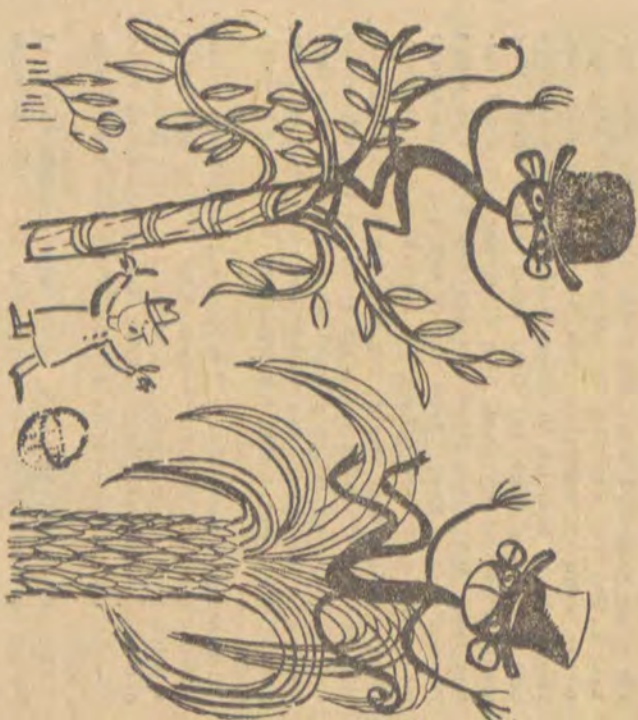
He is running out of the garden now. What has he done?  
He has taken a big apple.

It is Tuesday. It is seven o'clock. There are two apples on Mr. June's tree. Who is running out of his garden now? It is Andy. He has taken an apple again.

It is Wednesday. It is seven o'clock. Who is walking in Mr. Jones's garden? It is Andy. Who is that woman at Mr. Jones's window? It is Mrs. June. What is she going to do? She is going to shout at Andy. She is shouting now, butting Andy is running out of the garden. He has not got an apple today.

It is Thursday, Friday, Saturday, Sunday. It is nine o'clock. Andy is not going to school. There is one apple on Mr. June's tree, but Mrs. June is at her window again. Andy is not going into the garden. He is unhappy. He is thinking, "The apple on the tree is sweet, but I'm not going to have it. I've eaten two apples, but Mr. June and Mrs. June are going to eat the last one".

An Englishman was in France on a short visit. He wanted to go back to England. He had only enough money to pay for his ticket. The trip will take only two days. He decided to live without eating those two days. So he bought a ticket



DER ESEL UND DER ZUCKER

Der Esel trug einen Sack mit Zucker auf dem Rücken.  
Der Tag war heiss, und der Weg war sehr weì. Der Esel

— I am seasick.

He went to sleep very hungry.

The next morning the Englishman felt half-dead with hunger:

— I shall eat, — he said to himself,  
— even if they throw me into the sea

Dinner time came. He went to the dining-room. He ate everything that was on the table before him. The dinner was over. He quickly got up and went to his cabin.

In the evening the ship was not far from London. He ate his supper and said to the waiter:

— Bring me the bill  
But the waiter asked:

- What bill?
- For the dinner and supper I ate

The waiter answered:



klar und kalt. Es schmeckte ihm sehr gut.

Der Esel wollte weitergehen, aber der schwere Sack zog ihn nach der Seite und er fiel ins Wasser. Nach einiger Zeit stand der Esel wieder auf und kam aus dem Wasser.

Er merkte, dass der Sack auf dem Rücken nicht mehr schwer war.

Nach einigen Tagen machte der Esel denselben Weg. Aber er hatte jetzt einen schweren Sack voll Mehl auf dem Rücken.

Der Ta war heiss, und der Weg war sehr weit. Der Esel sah wieder demselben Fluss. Er war durstig. Er trank viel und fiel absichtlich ins Wasser. Er dachte, dass der Sack wieder leicht wird, aber der Sack mit Mehl wurde nicht leicht. Der Sack wurde so schwer, dass der Esel nicht aufstehen konnte.

Ein Bauer half dem Esel aus dem Wasser.

# EIN REISEPASS

Es war am Juni 1870 (achzehnhundertstbzig). Der Schneezug hielt an einer Grenzstation in der Schweiz. Ein gut gekleideter Herr stieg aus und spazierte auf dem Bahnsteig. Das war der bekannte französische Illustrator Gustave Doré. Plötzlich blieb er stehen und suchte eifrig in seiner Aktenkassette:

oczami. Imponowała mi zaw-  
sze, ale teraz jeszcze bar-  
dziej. Sytuacja nie była we-  
sola. Pan nigdy tego nie  
przeżywał, to pan nie wie.  
Ale na przykład teraz: sie-  
dzaliśmy zamknięci w cu-  
dzym mieszkaniu. Za chwilę  
przyjdzie milicja. Na pewno  
przyjdzie, o tym byłam prze-  
konana. Co im powiem? Jak  
wytlumaczymy swoją obecność  
tutaj? Czy nam uwierzą? I  
czy nas nie zabiorą? Nigdy  
dotychczas nie miałam do-  
świadczenia z milicją.

Zaterkotał nagle telefon. Wzdrygnęłam się. „Idź, odbierz” — rzekła Mariola. „Gdyby się kto pytał, powiedz, że przyszedł na lekcję. Chcesz, żeby Tato uczył cię angielskiego. Tato jest uczony”. „Halo” — rzuciłam w słuchawkę. „Śmiało mów!” — zawołała Mariola. „Halo!” — rzekłam ze zniecierpliwieniem. — Kto mówi? „Czy zastępie pana M.?” „Nie ma pana M.” „A kto mówi?” „Cóż to pana obchodzi, kto mówi! Niech się pan najpierw przedstawi i czego w ogóle chce pan od pana M.?” W słuchawce nastąpiła mała przerwa, po czym ten sam głos, słodki, jakby mu kto kilogram cukru do pyty wysypał, zadał następne pytanie: „A może to żonka pana M.?” „Chodź, Mariola” — krzyknęłam zakrywając słuchawkę — „ten idiota gada jak na mekacha”. „Odwal go!” — rozkazała.

krótko Mariola. „Niech się pan odczepi!” krzyknęłam i położyłam słuchawkę na widełki.

Po minucie odezwał się znów dzwonek. „Halo!” — powiedziałam. Stałam się mówić spokojnie. „Halo!” — odpowiedział ten sam głos mężczyzny, jeszcze bardziej słodki. „Czy to mieszkanie pana M.?” „Tak jest!” — krzyknęłam ze złością. — „Niech pan da spokój z głupimi kawałkami!”

„Pani! daruję, ale ja mam sprawę do pana M. Jeśli go nie ma, to mogę z jego żoną?”. „Pana M. nie ma w tej chwili w domu. Kim pan jest?” — zapytałam. „Pani mnie nie zna, ale ja jestem przyjacielem pana M.” „Skoro pan jest przyjacielem, to pan wie, że pan M. nie ma żony. W ogóle zachowuje się pan jak idiota”. W słuchawce rozległ się chichot. Jakbym go dzwiała, na pewno szukał w swej mózgowicy nowego konceptu. „Owszem, wiem o tym. Pan M. na pewno leży gdzie w rynsztoku. Ale ja dzwonię nie do niego, tylko do pani. Chciałbym się z panią umówić. Pani się nazywa Mariola. Przychodził pani do pana M. Ja bym pani coś zaproponował...”. „Panie kochany” — odparłam równie słodko jak on — „niech pan zamknie swój potok wymowy. Nie nazywam się Mariola, nie przychodzę do pana M. i nie przyjdzie do pana. Poza tym, sądząc z głosu, musi pan być okropnie niemily”. „Ach tak!” — głos w słuchawce zmienił nagle tonację. Pożalujesz, płaszyno”. „Dureń!” — krzyknęłam ze złością i rzuciłam słuchawkę.

„To ten sam szczur, który nas zamknął” — rzekłam. „Czego chciał?” — zapytała Mariola. „Żebyś do niego przyszła”. „Przyjdę, przyjdę” — powiedziała Mariola. —

Pewnie dzwoni teraz na milicję". „Albo już zadzwoniła" — odparłam. „Nie szkodzi. Niech dzwoni" — rzekła Mariola. Usiadłam na krześle i zapaliłam papierosa. Czulałam się okropnie. Przyznaję, że zazdrościłam Marioli jej spokoju. „To będzie najlepsze" — powiedziała Mariola. „Kiedy milicja przyjdzie powiesz, że cię tu przyprowadziłam. Chcesz brać lekcje angielskiego u Taty. Tato zna angielski. On w ogóle zna kilka języków. Tak, to najlepsze". „Dobrze" — odparłam. Kiedy tak siedziałyśmy i czekałyśmy na tę milicję, zaczęła mi po głowie chodzić myśl, że przecież chłopaki muszą wymyślić jakiś ratunek. Gdyby była na ich miejscu, na pewno bym coś wykombinowała. Nie wiedziałam jeszcze co, ale przecież tak nie zostawiałym żadnego kumpla. Począłam się z wolna uspokajać. Tak Boruta coś już wymyślił. Zapaliłam jeszcze jednego papierosa. „Wiesz co Mariola? Czy któryś z chłopaków ma telefon?" Mariola podskoczyła do góry. „Dobra jest!" Ze też mi to do głowy nie przyszło. Zadzwonię do Długiego. Fajna z ciebie babka. Skoczyła do mnie i ucałowała mnie mocno. Oddałam jej całusa. Sama nie wiem, skąd mi się bierze taka rzewność, gdy ktoś do mnie przychodził z sercem. Niektórych spraw zupełnie nie mogę zrozumieć. Podczas gdy nakreślałam numer, objełam ją za szyję i jeszcze raz ucałowałam. Mariola stała chwilę ze słuchawką przy uchu. Zmarszczyła brwi i szepnęła głośko: „Nikt nie odpowiada". „Zadzwoń jeszcze raz". Może źle nakreśliłam numer? Albo zaczekał. ja nakręcę. „Nie, ni ma nikogo w domu" — powiedziała — no cóż, wypada czekać".

Wróciliśmy na swoje miej-

sca. Znowu ogarnęła mnie rozpacz. Każdy szmer za drzwiami wywoływał przyspieszone bicie serca. „Chyba idą” — powiedziała Mariola. Schody skrzypiały pod czymisi krokami. Ilu ich szło? Dwóch? Trzech? Nie mogłam go różnic. Kłós sapiał ciężko, „Masz papierosa?” — zapytała Mariola. Rzuciłam na stół puszc pudełko. „Cholerny świat. Nawet zapalić nie można”. Kroki przybliżyły się. Wreszcie stanęły. Usłyszałyśmy trzask zamka, jeszcze dwa, trzy kroki, kłós pchnął drzwi do pokoju i na progu stanął Tato, a za nim Długi. Tato był kompletnie pijany, chwiał się, a Długi go podtrzymywał. Nie mogłam powstrzymać histerycznego śmiechu. Śmiałam się jak wariatka. „Coś ty, Długi. Tęę przyprowadził?” Długi zdjął okulary i spojrzał na mnie. Natychmiast przestałam się śmiać. „Zajmijcie się waszym Tęą, ja na was poczekam na dole” — powiedział Długi. Mariola wzięła Tęę pod rękę i posadziła go na kanapie. Tato spoglądał mętnym wzrokiem to na Mariolę, to na mnie. Poznał nas bo na jego twarzy pokazał się uśmiech. Ale tylko my mogliśmy poznać, że Tato się uśmiecha. Kto inny mógłby powiedzieć, że Tato dostał po głębie i twarz mu wykrzywiło. „He, to i nasza płaszyna jest tutaj?” Tato mówił nieskładnie, sylaby mieszały mu się, jakby były z klocków. Przypominał mi się ojciec, kiedy jeszcze pił. Wszyscy pijacy mają drewniane języki. Mariola szybko naparzyła mocnej herbaty, dała mu aspiryny. Nauczył ją tego Boruta. Aspiryna jest dobrą odtrutką na alkohol. Tato przyszedł co nieco do siebie. „Ale się Tato spill!” — krzyknęła Mariola. „Potrzebne to?” Tato położył rękę na piersi jak ksiądz na

kazalnicy. W ogóle Tato zgrywał się jak aktor. „Dranie, świnię nieczyste, w piekle gnąć będą”. „Kto będzie gnąć w piekle?” — spytała Mariola. Tato czekał tylko na to pytanie. Mówię panu, zaczął kłać i wymuslać jak ostatni z ulicy. A potem znowu przeszedł na kazanie. Okropne było. Mariola mówiła, że Tato wymyslał tak na Niemców, którzy go wzięli i z powodu których stracił rodzinę. „Ani złodzieje, ani łakomi, ani pijanicy, ani złorzeczący, ani drapieżce nie osiągną Królestwa Bożego” — zakończył drętnianym głosem Tato. „Albo to jest królestwo Boże?” — zapytała Mariola. Tato schwył ją wół, przewrócił na swoje kolana i dał klapsa. „Czego nie ma tam — pokazał kościstym palecem w sufit — jest tutaj” — i uderzył się w piersi. — Tu jest piekło i niebo. Tato mówił, słuchajcie Taty. Ale o czym mówić? Po co? Dlaczego? Dla kogo? Jestem jako Ty, który umilkł pośrodku morza. Jak Boga kocham, z tymi powtaszkami Taty można było dostać kręcka. „Co Tato mówi?” — zapytałam. „O jakim morzu Tato mówi?” Tato spoglądał szkliskimi oczami, jak by nikogo nie poznawał.

W tej chwili wszedł milicjant, średniego wzrostu, z paskiem pod brodą. Za nim, w głębi sieni, zaświeciła lysa głowa Szczura. Milicjant znalazł Taty. „O, to widzę znowu powraca pan z dalekiej wycieczki?” Tato machnął po pijanemu ręką. „A panienki skąd tutaj?” — zwrócił się do nas. W jego głosie nie było złości. Zadał pytanie stanowczo, ale nie ostro. A jednak poezuliam, że tym pytaniem dociera gdzieś do środka. Zaczęłam drześć. „Dlatego pan nas pita?” — odowiedziała Mariola. „Niech pan zapyta

lepiej Taty". „To moja narzeczona" — rzekł Tato. Chciał się podnieść z kanapy, ale nogi ugięły się pod nim i kląknął. Milicjant uśmiechnął się pobłażliwie. „A to piaszyna" — przedstawił mu Taty z kolei. „Jaka piaszyna? Zna pan te dziewczęta? Skąd się one tu wzięły?" Tato chrząknął. „Zaraz..." odpowiedział. To Mariola, dałem jej klucz, może zawsze do mnie przychodzić" — w głosie Taty czuć było wstępujące podniecenie. Mariola przerwała Tacie: „Magda jest moją koleżanką. Prosiła mnie, żebym jej wyszukała dobrego nauczyciela do angielskiego. Tato zna angielski. Węc przyprowadziłam ją tutaj. A jakiś szeszur dał znać na milicję. I pan tu przyszedł. Tato nas zna" — wyrecytowała jednym tchem. Milicjant był wyraźnie zakłopotany: „Panie M., myśmy już rozmawiali nieraz. Pan rozumie. Czas chyba, aby pan się zebrał w garść. Te paniulki..." „Ani słowa na te paniulki!" — rzekł Tato.

D. c. n.





## „Jasny gwint“ - uprzedzamy włókniarzy czyli: o krok od absurdu

Z dużym zainteresowaniem wysłuchaliśmy wywiadu telewizyjnego red. Lecha Pijanowskiego z kierownikiem audycji publicystyczno-informacyjnych w TV. Z tym większym jednak zdziwieniem, siedząc przed szklanym ekranem, przetwarzaliśmy prawdy, które kierownictwo tego ważnego działu głosiło. Szczególnie zaniepokoiła nas prawda następująca:

— Będziemy uprzedzać włókniarzy — że tego i tego dnia damy audycję dla górników — uprzedzimy, zaś dostawców naszych czarnych diamentów, jeśli będzie coś o włókniarzach. A dlaczego będziemy uprzedzać? — Bo... niektóre audycje są dla fachowców i specjalistów, a więc audycje zupełnie nie interesujące tzw. masowego telewidza!

Dopiero po tym wywiadzie zrozumiałem, że nadana kilka dni przedtem audycja o zaopatrzeniu fabryk w śruby i śrubki i nosząca w programie tytuł „Jasny gwint“ wcale nie była dla mnie, a dla specjalistów, owego dnia więc — ja, masowy telewidz miałem iść na spacer po mieście i cieszyć się z tego prostego faktu, że telewizja to piękna rzecz, że za jedyne 550 zł miesięcznie (rata za telewizor i opłata) człowiek ma oprócz sprzętu jeszcze trochę czasu na tzw. relaks.

Ale poważnie. Cała ta audycja o skomplikowanej procedurze zaopatrywania przemysłu w śruby i śrubki była jednym wielkim niewypałem, bo niezależnie od tego, że bez śrubki nie ma dziś żadnej maszyny ani aparatu, jest to temat na konferencję i kurs dla zaopatrzeniowców a nie na półgodzinne „okienko“ w telewizji. Chociaż każdy z telewidzów, wyobraźmy sobie, ma własny rower, czy pralkę i jest osobliście zainteresowany w jakiej takiej produkcji śrubek — nic go to nie obchodzi, że

zaopatrzeniowcy poszczególnych central jeżdżą pociągami z jednego końca naszej ojczyzny na drugi, co zresztą dla uatrakcyjnienia nudnej audycji również pokaza-

no... I dlatego nie zgadzam się z kierownictwem audycji publicystyczno-informacyjnych, że pewne audycje mają być tylko dla specjalistów. Ostatecznie bowiem telewidzów mamy ze cztery miliony, a specjalistów około 100 tysięcy i wydzielanie im specjalnego czasu w szczupłym programie jest chyba grubą przesadą. Nie zgadzam się też z zamierzoną taktyką TV przewidującą uprzedzanie włókniarzy o programach dla górników. Każdego włókniarza interesuje wiele spraw związanych ze Śląskiem, z życiem górników na i pod ziemią, tradycjami poszczególnych ośrodków węglowych, postępowaniem technicznym itp. — i wcale nie muszą to być audycje dla specjalistów, a więc robione systemem jakiegosć szkolenia zawodowego, który wyłaził ze wspomnianej audycji „Jasny gwint“.

Jest chyba milion sposobów na to, aby temat węglowy, czy górniczy, przemysłowy czy rolniczy uczynić strawnym dla mieszcuchów, dla przedstawicieli wszystkich innych zawodów i w ogóle — dla niespecjalistów. I do tych sposobów trzeba sięgnąć a nie straszyć ostrzeżeniami raz pod adresem jednych, raz pod innych telewidzów.

FELIKS BABOL

Jakkolwiek ogólne tezy artykułu wydają się być bezsporne, ocena konkretnego programu „Jasny gwint“ wypadła — w ocenie innych telewidzów — wręcz odwrotnie, bo niemal entuzjastycznie. Przy przeciwnych sądach zawsze jest okazja do dyskusji, a że o programach publicystycznych dyskutować warto, więc — czekamy!



## KONKURS w MONTREUX

W okresie od 23 kwietnia do 5 maja 1962 roku odbywać się będzie w Montreux II MIEJDZYNARODOWY FESTIWAL TELEWIZYJNY. Podczas jego trwania, podobnie jak w roku ubiegłym, zorganizowany zostanie Międzynarodowy Konkurs Telewizyjny Programów Rozrywkowych, tzw. „Złota Róża Montreux“.

Telewizje poszczególnych krajów zgłaszać już mogą na Konkurs różnego typu programy od rewii, poprzez musical, do piosenki i muzyki lekkiej włącznie. Każda organizacja telewizyjna może zgłosić tylko jeden program trwający od 15 do 60 minut. Przyznawane są trzy nagrody: „Złota Róża“ (10 tys. franków szwajcarskich), Srebrna i Brązowa.

Warto przypomnieć, że w roku ubiegłym zgłoszono 34 programy. „Złota Róża“ otrzymała telewizja angielska (BBC). Srebrna — włoska, Brązowa — czeskosłowacka.

## Filmy w TV

Tygodnik „Filmblätter“ podał dane dotyczące ilości filmów fabularnych wyświetlanych w TV w latach 1956 — 1961, a mianowicie w 1956 — 25 filmów fabularnych, 1957 — 57, 1958 — 37, 1959 — 36, 1960 — 45 i 1961 — 96, a więc na przestrzeni ostatniego roku nastąpił nagły wzrost o przeszło 100 proc. Z filmów polskich w 1961 roku w telewizji NRF wyświetlano film „Pociąg“ Kawalerowicza i „Ewa chce spać“ Chmielewskiego.

W związku z tym prezentujemy gwiazdkę francuską: AA — Agata Aems



## Czemu o „Kobrze“?

Zdarzało się, pytano: — Czemu, u licha, piszecie w ogóle o „Kobrze“? Przecież to...

Owszem, wiemy. Przecież to zupełnie margines programu, audycja bez większych ambicji, tyle że popularna — piszemy.

I dlatego, że popularna — piszemy. „Kobra“ stała się już instytucją, stała się magnesem ścigającym do telewizorów setki i tysiące ludzi. Wiadomo jest na przykład rzecz, że organizatorzy widowisk teatralnych, a już szczególnie impresaria od różnego rodzaju chałtur, jak ognia boją się czwartku — bo „Kobra“!

A skoro tak, to kształt artystyczny „Kobry“ przestaje być bez znaczenia. Zapewne, ambitniejsza jest rzecz zaprezentować widzowi starożytną poezję, aniżeli pokazać na małym ekranie, jak ostrzo arzenikiem starego profesora; z drugiej jednak strony widzący programy poetyckiego krytycznej spójry zarówno na stronę realizatorską, jak i aktorską, oceni i odrzuci artystyczną mierność, kiedy w tym samym czasie widzi „Kobry“ będzie z wypiekami na twarzy dociekał „kto zabił?“ i wcale go nie wzruszy, że równocześnie z mordowaniem profesora, zgodnym wysiłkiem aktorów i mordercy się przedstawienie.

„Kobra“ — ze względu na swoją zadziwiającą masowość — ma tedy (teoretyczną — przynajmniej) szansę wyznaczenia pewnego rodzaju „miar artystycznych“ uczucia dobrego telewizyjnego teatru i dobrego telewizyjnego aktorstwa. Stąd postulat pierwszy: winna być ona szczególnie starannie obsadzana, obsadzana bez pudła.

Postulat drugi: winna być ona szczególnie starannie i czytelnie realizowana.

Wreszcie — tekst. Zrozumiałe, że zbytnich głębi filozoficznych od „Kobry“ żądać nie można, że musi ona pozostać widowiskiem sensacyjnym, widowiskiem z zagadką i w kierunku skonstruowania jej zagadki zawsze będzie zmierzał wysiłek autora. Ale zabawa w „kto zabił?“ bądź w „kto zabił?“ może mieć również swój wdzięk — raz wdzięk nieco intelektualny, raz wdzięk dobrze skonstruowanej szarady.

Chocby Priestley. Nadane przed tygodniem „Zamknięte koło“ Priestleya spełnia — moim skromnym zdaniem — wszystkie warunki, jakie stawiać możemy „Kobrze“.

Widowisko obsadzono ciekawie — było nie było. Zofia Mrozowska, Aleksandra Śląska, Kalina Jedrusik, Edmund Fetting, Mieczysław Milecki, Stanisław Zaczek — dobrze grane, precyzyjne, pomysłowo realizowane. Scenariusz zaś — uroczy. Gdyby rzecz brnąć serio, wyszedłby z tego koszmarny melodramat, ale historia została pomyślana i podana z przymrużeniem oka, a zakończenie będzie jednocześnie początkiem — pięknie zamknęło kompozycyjnie tę szaradową zabawę.

Trzy pary małżeńskie, ktoś kto przed rozpoczęciem akcji popełnił samobójstwo i osma osoba (dla równowagi kompozycyjnej — kobieta), której jedna kwestia, jedno pytanie uruchamia cały mechanizm. I trybiki zaczynają się kręcić, już po kilku minutach wiemy, że każda osoba będzie jakąś zamieszana w sprawę i skomplikowaną.

Priestley skonstruował szaradę, reżyser (Jerzy Gruza) celnie ufratował w jej klimat, aktorzy również wyczuli ton granej — jak to się mówi — nieco na pedale. Tysiące widzów bawili się najprawdopodobniej dobrze, a kto nazbyt uwiertzył w melodramatyczny siedmiokąt (wzruszająco — pseudosamobójca w kimś się kochał, bądź z kimś się zdradzał), temu powrócono na zakończenie, choć inaczej rozegrana scena początkowa dała — być może — coś niecoś do myślenia.

(PT)



## Rozpoczyna się budowa centrum telewizyjnego w Warszawie

Rozpoczyna się budowa centrum radiowo-telewizyjnego w Warszawie w rejonie ulicy Woronicza na obszarze 16 ha. Ogólna kubatura centrum wyniesie 360 tys. m. sześć, koszt całości ok. 630 mln. zł. Centrum składać się będzie z kompleksu zespołów radiowych, 11 studiów, w tym 6 muzycznych, obiektu zespołu emisji programu, pomieszczeń redakcji itd. Telewizja otrzyma 5 studiów, lokale redakcyjne, bazę filmową produkującą film dla własnych potrzeb, zespół transmisji a także magazyny i warsztaty. Na ostatnich piętrach jednego z obiektów — 14-kondygnacyjnego wieżowca znajdą pomieszczenia linie radiowe połączone z krajową siecią telewizyjną.

Zespół ekspertów Komisji Planowania przy Radzie Ministrów zakończył opiniowanie wstępnego projektu centrum i przygotowuje wnioski na Komisję Ekonomiczną Rady Ministrów, która w najbliższym czasie ma rozpatrzyć projekt.

Pierwszym obiektem, od którego rozpocznie się budowa będą magazyny telewizyjne przeznaczone dla dekoracji i rekwizytów. Planuje się, że pomieszczenia te zostaną oddane do użytku w końcu bieżącego roku.

## To i owo o TV

### PODWODNE „OKO“ CZŁOWIEKA

Kamera telewizyjna znalazła zatrudnienie w energetyce wodnej. Dzięki niej można prowadzić „reportaż“ z dna zbiorników wodnych, badać stan budowli hydroenergetycznych oraz zapór. Pionierskie próby telewizji podwodnej w Polsce przeprowadzili naukowcy z Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku. Po nich naukowcy z Politechniki Gdańskiej wspólnie z inżynierami z Zakładów Radiowych im. Kasprzaka w Warszawie „ożenił“ kamerę telewizyjną z hermetyczną skrzynią, wyposażoną w reflektory, aby zbadać bez opuszczenia pod wodę nurków stan słynnej górskiej zapory wodnej w Rożnowie.

### TELEWIZJA W GÓRNICTWIE

W naszym przemyśle węglowym pierwsze doświadczenia z telewizją przemysłową przeprowadziła kopalnia „Wujek“. Okazuje się, że XI Muza może usprawnić organizację pracy kopalni. Telenadajniki umieszczone pod ziemią i na powierzchni, przekazują do centrali operatora obraz ruchu załóg górniczych na podziębii oraz sprawozdanie z pracy automatycznych wózków — wywrotek, wywozających węgiel.

Jako druga w naszym górnictwie zainstalowała kamery telewizyjne kopalnia „Katowice“.

### MUZA... W KITLU LEKARSKIM

W szpitalu na Solcu w Warszawie oraz w kilku innych krajowych placówkach zdrowia XI Muza obiekta się... w lekarski kitel.

Bowiem i w medycynie telewizja znajduje rozległe zastosowanie. Sprężona z aparatem rentgenowskim chroni zdrowie lekarza, dokonującego przesiewień przez wiele godzin dziennie i narażonego stale na szkodliwe działanie promieniowania. Zamiast oka lekarza, do ciała pacjenta zagląda kamera.

### TELEWIZJA W TEATRZE

Wkrótce po swych narodzinach telewizja uchodziła za groźnego konkurenta teatru. Ale oto obecnie telewizja służy w teatrze widzowi i artyście. Ekran zainstalowane w foyer pozwalają obejrzeć pierwszy akt sztuki spóźnialskim, ekrany zainstalowane za kulisami w garderobach aktorów przejmują na siebie gros dotychczasowych obowiązków inspicjenta, pilnującego technicznej strony przedstawienia, np. wejść aktorów na scenę.

Takie „stelewizowane“ teatry istnieją już w ZSRR. Urządzeń telewizyjnych nie zabrakło podobno w nowym warszawskim Teatrze Wielkim Opery i Baletu.

R.B.



W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza otwarto interesującą wystawę plastyczną pod nazwą „Ziemia Łódzka w plastyce“. Ekspozycja, czynna będzie tylko do 13 marca br., więc radzimy jak najszybciej OPS odwiedzić.

Niedawno czytelnicy pewnej łódzkiej gazety poinformowali, że przy Al. 1 Maja w Łodzi istnieje... fabryka chrzanu. Tych, których ta rewelacja nieco zaskoczyła, możemy uspokoić, że chrzan używany jest nie tylko do mięs, ale i do informacji prasowych. Albo odwrotnie. Informacje do chrzanu.

Jak dotychczas, około 130 tysięcy łodziaków poznało już „rozkosze“ tegorocznej grypy. Mimo odwołania stanu alarmowego przeciętnie 2 tysiące nowych grypowców powiększa systematycznie statystykę zachorowań.

8 wagonów pomarańcz i jeden wagon cytryn skomunikowała ostatnio Łódź. Ze jest to kropla w morzu (albo raczej w żółdku) wiedza ci, którym wypadło odwiedzać niedawno pękające od nadmiaru klientów „Delikatesy“.

Amerykański pisarz Herbert Clyde Lewis napisał nowelę kryminalną, której głównym bohaterem jest Polak — Waldemar Kosciuchowicz oraz... Uniwersytet Łódzki. To bardzo ciekawe opowiadanie można przeczytać w 8 numerze tygodnika „Świat“. Gorąco polecamy, bo naprawdę warto.

Ostatnio w łódzkich kinach spotykamy „Giewon“ bez firmowych banderol. Rzecz właściwie nie byłaby warta wzmianki, gdyby nie fakt, że pisać za całą paczkę otrzymujemy nie raz osiemnastociek sztuki. Komuś widac opłaca się nawet taki groszowy interes.

2,5 tysiąca uczniów klas maturalnych bawilo się ostatnio w Łodzi na prawie stu... studiówkach.

Nawierzchnie łódzkich ulic na pewno zachwyty nie budzą. Dobrze więc chociaż wiedzieć, że w bieżącym roku na inwestycje drogowe przeznaczono w naszym mieście 62 miliony złotych. Przebudowę ulegnie ponad 20 kilometrów ulic.

Uznanie melomanów zyskała inicjatywa Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, które organizuje projekcje filmów muzycznych. Ostatnio oglądaliśmy „Praską Wiosnę“ i „Filharmonię Drezdeńską“.

Dowiedzieliśmy się niedawno, że w marcu otwarta zostanie w Łodzi pewna malarsko-graficzna wystawa. Organizatorzy zapewnili sobie absolutnie mrozoną frekwencję zwiędzających. Prace eksponowane będą bowiem w sali... SPATIE-u przy Al. Kościuszki 33, gdzie jak wiadomo, tzw. — w języku gastronomicznym — przepustowość jest raczej słaba. Może się jednak zdarzyć, że zwiędzający zabiorowani innymi czynnościami, obrazów nie dostrzegą — dlatego proponujemy, aby na przykład grafikę umieszczać pod szkiełkami na stolikach.

Hucznie bawiono się w Probuszowiecach z okazji Dnia Kobiet. Miejsce Liga Kobiet i Koło Gospodyń tak zorganizowały uroczystość, że świetlica gramadka, gdzie bankiet się odbywał, została „zablokowana“ na czas dłuższy. Wobec tego prawie pół setki amatorów programu telewizyjnego musiały zrezygnować z rozrywki.

Przy Placu Niepodległości zbudowany zostanie Łódzki Dom Towarowy. Jak się dowiadujemy, ów nowoczesny super market otrzyma również... schody ruchome. Jeśli będą one funkcjonowały podobnie jak schody w warszawskim CDT, łódzcy satysficy zarobią na nich nieco grosza.

J. W.

## PROGRAM na najbliższe dni

### CZWARTEK — 15. III. 1962 R.

11.00 Program dla szkół (dla kl. VI). Historia — „Sławetne relikwiarze Rzeczypospolitej“ (W). 10.30 Przerwa. 16.45 Program dnia (L. lok.). 16.50 „Hasło Rotunek“ — program o pracy ratowników górskich (Kraków). 17.25 Film dla dzieci: „Zab rełdina“ (produkcja radzieckiej TV). 18.35 „Nie tylko dla pań“ — magazyn (W). 19.05 Wolfgang Amadeusz Mozart — sonata skrzypcową B-dur — grają: Wanda Wilkomirska i Jadwiga Szamotulska (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 TV Magazyn Wojkowy (W). 20.30 Polska Kronika Filmowa (W). 20.40 „Gorzką“ — film fabularny prod. włoskiej, dozw. od lat 16 (W). 22.05 Ostatnie wiadomości (W).

### PIĄTEK — 16. III. 1962 R.

16.45 Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.00 Program tygodnia (L. lok.). 17.30 „Spojrzenie opinie“ (L. lok.). 17.50 „Znak Zoro“ — odc. XVI — film produkcji USA (W). 18.20 „Siadami Pitagorasa“ — teleturmal matematyczny (W). 18.55 Wschodnia TV: „Żywy system alarmowy“ — program z cyklu „Szlachetne zdrowie“ (Łódź ogólnop.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Mistrzostwa świata w jeździe figurowej na lodzie. Tańce parami. Transmisja z Pragi przez Katowice. 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

### SOBOTA — 17. III. 1962 R.

10.00 Program dla szkół (dla kl. VI): Zoologia — Cykl: w świetle zwierząt. Temat: „Gdy gady panowały na ziemi“ (W). 10.30 Przerwa. 16.53 Program dnia (L. lok.). 17.00 Program dla dzieci: 1) „Mik z okienka“, 2) „I co dalej?“ — o książkach dla najmłodszych, 3) Film dla dzieci (W). 18.00 Mistrzostwa świata w jeździe figurowej na lodzie. Konkurencja kobiece. Transmisja z Pragi przez Katowice. W przerwie: ok. 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.35 „Cjanek“ — film fab. prod. NRD (dozw. od lat 16) (W). 22.00 PKF (W). 22.15 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 Kabaret Starszych Panów — pt. Zupelnie inna historia. Reżyseria — Jeremi Przybora (W).



## CENA AUTA i POCIECHY

Przeciętny koszt utrzymania dziecka do lat 4 równa się cenie popularnego samochodu osobowego, a utrzymanie dziecka do pełnoletności — 18 lat, odpowiada cenie najbardziej luksusowego auta...

Tak wyliczyli skrupulatni bracia Czesi i bardzo ich to zmartwiło. Za drogo! — wykrzyknęli łącznie naukowcy z praktykami. Oto przyczyna dla której mało kto u nich poczyna...

W Czechosłowacji bowiem przyrost naturalny jest za niski. Specjalna 20-osobowa Państwowa Komisja Ludnościowa w Pradze opracowuje nawet w y t y c z n e polityki ludnościowej, zmierzając do jego podniesienia. Z inicjatywy Komisji państwo stwarza rodzicom aktualnym i potencjalnym, tzw. bodźce materialne, spodziewając się w zamian aktów naturalnych czyli płodzenia dzieci. I tak:

⊙ rodziny „dzieciatę” są uprzywilejowane pod względem przydziału mieszkań;

⊙ wprowadzono bezpłatne podręczniki szkolne;

⊙ odzież dla dzieci do lat 10 sprzedawana jest po specjalnie niskich cenach;

⊙ urlop macierzyński trwa 18 tygodni (u nas 12);

⊙ jeżeli kobieta po urodzeniu dziecka ze względów zdrowotnych musi przejść na lżejszą i gorzej płatną pracę, różnicę między poprzednim zarobkiem a aktualnym wyrównuje się ze specjalnego funduszu państwowego;

⊙ uruchomiono usługi domowe takie jak: codzienne odbieranie pieluszek do prania, i przywożenie do domu gotowych produktów żywnościowych;

⊙ dodatki rodzinne przy wzroście ilości dzieci — rosną, a podatki od wynagrodzeń — spadają.

Ależ ci Czesi są twardzi! Nawet takie zachęty ich nie ruszają!

O ileż bardziej ochotni są Polacy, na nie nie zważają i płodzą. Brak mieszkania, brak pieniędzy, zdrowia... — nic ich nie zniechęca. „Daj Pan Bóg dzieci da i na dzieci”.

Czesi raczej liczą na siebie i dlatego agitacja na rzecz rodzicielstwa prowadzona jest poprzez zmniejszanie różnicy w poziomie życia rodzin „dzieciatych” i „bezdzieci”. Jeśli dziecko „spadnie w cenę”, więcej obywateli będzie nań mogło sobie pozwolić, przyrost wzrośnie i... po kłopotach.

U nas po wielu walkach w odwrotnym celu prowadzonych, przyrost spadł nieco, ale i tak jest jeszcze największy w Europie. Gdybyż można ożenić polską ochęć z czeską przeornością!

(Faktów do powyższych „rozważań” dostarczyła nam kronika życia naukowego kwartalnika „Studia Socjologiczne”. Udało nam się go kupić w kiosku, co jest nie lada wydarzeniem, ponieważ jego nakład wynosi 2.000 egzemplarzy).

# ODGŁOSY

## tygodnia

## AWANS STENOGRAFII

Przy Uniwersytecie Łódzkim uruchomiono w ubiegłym miesiącu — pierwszy bodaj na terenie szkół wyższych w kraju — lektorat stenografii.

Zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu i oczywiście są nadobowiązkowe, bo program studiów nie takiego nie przewiduje.

Jak dotychczas, chęć nauki stenografii zgłosiło około 35 studentek i studentów z wydziałów prawa i ekonomii.

To bardzo dobrze, że władze uczelni pomyślały o przygotowywaniu magistrów ze znajomością stenografii.

Nam wszakże wydaje się, że efekt końcowy będzie przeciwny — uzyskamy stenotypistki i stenotypistów z wyższym wykształceniem.

Bo — jak wiadomo — stenotypistek wciąż brak, a wśród magistrów niektórych specjalności szerzy się nadprodukcja. Tak czy tak, rezultat będzie jednak pożyteczny.

## TYLKO na SZKLANKI

Prosty, acz nie pozbawiony symptomów genialności, sposób rozpijania swoich klientów wynalazło kierownictwo gospody „Tuszyńianka” w podłódzkim Tuszyńcu. Otóż z tejże gospody, de facto zaś obskurnej knajpy, po prostu wycofano kieliszki, wódkę podaje się tylko w szklankach.

Sukces przedsięwzięcia zawdzięcza „Tuszyńianka” prawidłowemu przewidywaniu reakcji psychologicznej klienta. Otóż jeśli klient poprosi na przykład 50 gramów wódki, to w szklance taka ilość płynu wygląda wprost mikroskopijnie. Klient więc oblewa się rumieńcem wstydu, niechętnie żąda „dolewki” i zalewa się na cacy.

Ale że w knajpie — jak wspomniano — urzędują psychologowie, zadbane również o efekt psychologiczny dla tzw. czynników, które mogą wpasć na kontrolę. W takim wypadku pokaże się im tabliczkę wiszącą na ścianie. Tekst tabliczki: „Zachęcamy do przeczytania prasy”. Owa prasa leży na kupie zmierzwiłona i brudna. Nadaje się prawdopodobnie tylko do owijania śledzi.

Metody psychologów z „Tuszyńianki” warte są upowszechnienia, co niniejszym czynimy.

## UBAW MIMO WOLI

Świetną historyjką, charakterystyczną dla atmosfery panującej w pewnych przedsiębiorstwach, uraczono nas ostatnio w pewnym zakładzie bawelnianym (nie łódzkim).

Kilka najważniejszych i ważnych z tegoż zakładu osób urządziło sobie mały acz wytworny, bankietek w miejscowej restauracji. Uczestniczył w nim także jeden z cenionych i doświadczonych specjalistów — chemików. Dla niego dzień ten był podwójnie przyjemny: i libacja z kierownictwem i wiadomość o otrzymaniu wysokiej premii...

Pojedli, popili, pobawili nawzajem i całkowicie ze świata zadowoleni rozeszli się do domów.

Na drugi dzień, kiedy ceniony i doświadczony specjalista — chemik udał się po premię, pozwolono mu podpisać, po czym oznajmiono, iż pieniądze rozeszły się na... bankiecie. Ceniony i doświadczony specjalista złożył więc autograf pod wczorajszą przyjemnością. Całą sprawę zaaranżował podobno szef produkcji zakładu, przez którego ręce przechodzą wszelkie rachunki. W zakładzie jak w rodzinie, nie wypada kierownikowi — jak ojcu, odmówić...

Z jednej strony żał nam pana za ten „ubaw mimo woli”. Z drugiej choć rozumiemy, że nie zawsze można oponować, zbyt łatwo dał pan z siebie zrobić balona. I to dużego...

## KOMSOMOLCY ZA KOTARĄ

Do Piotrkowa przyjechali z wizytą trzej młodzi i bardzo sympatyczni komсомолcy. Kiedy nadeszła pora obiadu, zaprowadzono ich do „Europy”. Nie ma tam małych sałek, tylko jedna duża, dzielona na pół kotarą.

Kotarę zasunęto i zażenowanych komсомолców posadzono przy jednym z kilku stolików. Wszystkie inne stoliki w tej części oczywiście pozostawiono wolne.

Silną rzeczą w części „dozwolonej” zrobił się tłok, zgłodniał piotrkowianin w pogoni za miejscem co chwila zaglądali za kotarę.

Rozumiemy, że Piotrków ma wieloletnią tradycję podejmowania przybyszów, gościł tu przecież sam król Jagiello, a zapewne i inni, sejmy, trybunały, itd.

Trudno nam zatem przychodzi robić uwagi, mniemamy jednak, że byłoby normalniej, prościej, z ułaskawieniem zbytniej w czasie obiadu oficjalności miłych gości posadzić po prostu przy jednym ze stolików, bez „kotarowej” separacji.

## Za żadne skarby

Łódź staje się w coraz większym stopniu ośrodkiem handlu zagranicznego. Odwiedzają miasto goście z zagranicy; wyjeżdżają ludzie z Łodzi w dalekie rejsy. I tu zaczynają się prozaiczne kłopoty.

Za żadne skarby nie można uświadzić w sklepach łódzkich w okresie zima-jesiennym letniego gościa i obuwia. W południowych krajach nie mają trudności z rozpoznaniem skąd delegacja przybywa. Ubrani po zimowemu — wiadomo z Łodzi.

Rozumiemy wymogi sezonu w handlu. Niechże jednak niesezonowe wyroby nie wędrują do magazynów lecz np. do sklepów taniej sprzedaży. Będą tu zawsze dostępne dla klientów. (wit)

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto: A. Kobylński

## KOŻUCH

Jedna pani drugiej pani pożyła kożuch. Z tej radości druga pani odprowadziła jedną panią, aż do samego pociągu — bo tamta jechała aż do Warszawy. Potem, lekko i wesoło — z kożuchem na rękę zbiegła po stopniach Dworca Fabrycznego, kierując swe szybkie kroki w stronę rodzinnych pieleszy. Aliści nie uszła daleko. Na Armii Ludowej zatrzymał się koło niej milicyjny „gazik”. Wyszedł zeń dwu przedstawiciele porządku publicznego.

Dowód! — poprosili.

Pani z przerażenia i zaskoczenia zaniemówiła, po chwili drżącymi rękoma zaczęła szukać dokumentów. Co się pani tak ręce trzęsą? — zapytał troskliwie jeden z przystojnych panów. Spurpurowiała ze wstydu, bo i widów już paru się znalazło, podała wreszcie jakiś dokument, z którego wynikało, że pracuje tu i tu, jest lekarzem itp. Potem, ochłonawszy nieco zdołała wykrztusić, „Co to za metody?”

Pani doktor, najmocniej przepraszamy, ale... jeśli by na przykład pani ukradli ten kożuch, to wszystko jedno, jakimi metodami chciałaby go pani odzyskać. Prawda?

Prawda! — przyznała. A ewentualność kradzieży tak ją zafascynowała, że: na miękkich nogach dotarła do domu, w Zakopanem — dokąd udała się w wypożyczonym, taksonującym ją bierze za taksu — jących k o ż u c h i ucieka; pilnuje kożucha tak, że nigdy z niego nie wychodzi, w dniu kobiet, trzeba jej było w związku z tym: przypiąć kwiatek do kożucha.

Może się nieco przegrzeje, ale ostrożność wywyczy „na medal”...

## Z CZARNEJ STATYSTYKI

W r. 1958 dokonano na terenie Łodzi 13.574 przestępstwa, w 1959 — 13.317, w r. 1960 — 13.666. W województwie łódzkim w r. 1958 zanotowano 17.473 przestępstwa, w r. 1959 — 17.090, w r. 1960 — 17.181.

Z danych liczbowych wynika, że w 1958 r. na terenie Łodzi nieletni dokonali 1.444 przestępstwa, w 1959 — 973, w 1960 — 958. Spadek przestępstw dokonanych przez nieletnich można zaobserwować w woj. łódzkim: 1958 — 540, 1959 — 563, 1960 — 387. Dla orientacji — ogółem w r. 1960 w kraju dokonano 429.991 czynów przestępczych.

W czarnej statystyce Łódź wraz z województwem zajmuje więc dalsze miejsce po Warszawie, Katowicach, Wrocławiu.

Trzeba to przede wszystkim zawdzięczać sprawnej pracy MO w zakresie wykrywania przestępców oraz lepszej opiece ze strony instytucji i organizacji. Obyśmy tylko nie poddali się huraoptymistycznym nastrojom.

## PŁASZCZYK z PIANKI

Świat się odromantyczniał, pla, lekka i z powodzeniem i utylizuje. Oni z piany zastępuje grube „waciaki”. A powstała Wenus Milońska a do tego i nieprzemakalna, o ile dziś... płaszczyk, kurteczka, bawelniane pokrycie pianki spiwoerek, pledzik czy Bóg otrzyma odpowiednią apreturę.

Jeszcze raczy wiedzieć co. Owe piankowe laminaty włókiennicze, znane są już szeroko za granicą. Są to żyłce piankowe poliuretanowe, którymi pokrywa się tanie tkaniny bawelniane oraz z włókien sztucznych. Uszyta z tego odzież jest cie-

Słowem, cieszymy się rodacy i błogosławmy łódzkiemu Instytutowi Włókiennictwa, który w dziedzinie opracowania polskiej metody otrzymywania laminatów piankowych osiągnął już znaczne sukcesy.

## HOKUS — POKUS

Mniej wódki w restauracjach, więcej smacznych, dobrych i urozmaiconych dań — tak można w jednym zdaniu ująć politykę gastronomiczną jednej z agend RN m. Łodzi — Wydziału Handlu. Reprezentuje ta polityka jednocześnie pogląd społeczeństwa. Tymczasem...

Specie od łódzkiej gastronomii pod pozorem zmiany tzw. lokalizacji bezalkoholowych restauracji doprowadzili do tego, że w 1961 r. zmniejszyli ich ilość z 11 do 8. Sztukmistrze: hokus-pokus — było jedenaście bezalkoholowych restauracji i jest już tylko osiem. W jednych lokalach skwapliwie wprowadzono wyszynk wódki, natomiast w innych zapomniano go wycofać. Dlaczego tylko całej tej aferze nadano miano „zmiany lokalizacji” — nie wiadomo. (wit)

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— • Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca • Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 • Zam. 867 I-L A 4